

Łódź Odgłosy

R1(34) 1991 / 3892-A

- Wywiad z zatwardziałym łodzianinem – str. 3
- Nie igrać z kobietami! – str. 4
- Szkolny striptiz – str. 6
- Samotny rajd przez Amerykę – str. 11
- Zoo to miejsce dla ludzi – str. 15

Ir 1 (1685) Rok XXXIV Styczeń-luty 1991 R. Cena 2000 zł

Zawieszona od m-c marca 1991 r.
Wznowiona od nr. 1-27 maja 1991 r.

Nr indeksu 36762 PL ISSN 04725042



Dzieci chciały mnie wynieść ze szkoły – twierdzi nauczyciel

Lekcja psychiatrii

MAGDALENA GROCHOWALSKA

Jedna z łódzkich szkół. Tu od września do listopada 1990 r. zlały się rzeczy, które wstrząsnęły opinią publiczną. Ile w ich prawdy, a ile plotek oceniły sami...

Pod koniec sierpnia zgłosił się do pracy w szkole Maurycy Owalski. Twierdził, że jest tłumaczem przysięgłym języka niemieckiego i byłym pilotem wycieczek zagranicznych. Jego poprzednim miejscem pracy były szkoła podstawowa w Zgierz. Zrezygnował z pracy w niej jeszcze przed upływem roku szkolnego, gdyż jak wierzył – mężczyźni go dojadły. Zachowywał się normalnie – wspomina dyrektorka szkoły, Leokadia Wolska – ale miała wątpliwości innej natury. Po pierwsze był germanistą, a chciał uczyć angielskiego, a po drugie zdziwiło mnie, że będąc pilotem wycieczek zagranicznych chce pracować w szkole. Spytałam go nawet czy przypadkiem nie traktuje szkoły, jako pracy zastępczej i dy tylko nadarzy się okazja wróci do pilotowania wycieczek. Odpowiedział, że nie ma takiego zamiaru, gdyż lubi pracę w szkole i w niej czuje się najlepiej.

Przez miesiąc wszystko było w porządku. Pierwsze wydarzenie miało miejsce na począt-

ku października. Mówi Tomek, uczeń klasy szóstej:

– Koleżanka siedziała bokiem na ławce i kiwała nogą. Pan od angielskiego strasznie się zdenerwował. Powiedział, żeby przestała, bo zachowuje się prowokująco. Ona odpowiedziała, że nie widzi w tym nic złego. Wtedy on powiedział, że jak nie przestanie, to on zwolni jej matkę z pracy (!). Zaczęła się śmiać, a on złapał jej torbę z książkami i wysypał całą zawartość na środek klasy. Wszyscy byliśmy zaskoczeni.

Po tym wydarzeniu, przyszedł ze skargą do pani dyrektorki ojciec dziewczynki.

– Wysłuchałam go i postanowiłam porozmawiać z nauczycielem. Wtedy po raz pierwszy zauważyłam, że ten człowiek mówi od rzeczy. Przyznał się do wyrzucenia książek z torby dziewczynki, a na moją prośbę, by nie robił tego więcej, odparł: „Pani wie, co te dzieci wyrabiają? One na przerwach uprawiają miłość!” Spytałam: „Co pan wygaduje?” A on na to: „To prawda, sam widziałem!” Potem jeszcze mówił, że dzieci mają w głowach czujniki, że organizują się w gangi, itp.

Kolejne wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie. Odkąd pojawiły się pierw-

sze telefony o podłożeniu w szkołach bomb, wysypywanie zawartości z teczek dzieci stało się regułą.

– Twierdził, że dzieci noszą w torbach bomby i on czuje się zagrożony – mówi dyrektorka.

Dzieci szybko zaczęły wykorzystywać brak dyscypliny na lekcjach.

– Odniosłam wrażenie – mówi dyrektorka, że on się bał dzieci. Nie mógł sobie z nimi poradzić. Kiedy ja byłam na lekcji, uczniowie zachowywali się normalnie, ale kiedy wychodziłam, w klasie zaczynał się hałas. Dzieci gwizdały, chodźły po ławkach, a on nie miał na nie żadnego wpływu.

Mówi Dorota, uczennica klasy szóstej:

– Nie szanowaliśmy go. Kiedy koledzy wychodzili z lekcji albo rzucali się kulkami z papieru, on reagował histerycznie. Krzyczał albo się śmiał. Raz, kiedy kolega powiedział, że nie ma zeszytu – pan zdjął pasek, zarzucił mu na szyję i zaczął go dusić. Widzieliśmy to wszyscy. Chłopakowi na szczęście nic się nie stało, poza tym, że miał czerwoną obwódkę na szyi. Kiedy spyaliśmy nauczyciela – dlaczego to zrobił, on odpowiedział: „Macie przywidzenia, nikt go nie dusił”.

Wydarzenie to miało miej-

sce 31 października i tego samego dnia nauczyciel napisał w dzienniku uwagi następującej treści: „KLASA W DNIU 31.X.1990 r. BYŁA POD DZIAŁANIEM BRONI PSYCHOTRONOWEJ”.

Uczniowie poszli na skargę do dyrektorki. Nauczyciel wyparł się wszystkiego oświadczając:

– Takie wydarzenie nie miało miejsca. Uczniowie są przemęczeni i mają zbiorowe halucynacje.

Kolejne wydarzenia są nie mniej drastyczne. Mówi Dorota: – Kolega pisał na tablicy jakieś bzdury. Nauczyciela to zdenerwowało. Zwrócił mu uwagę. Kolega odpowiedział coś złośliwego, ale co – nie usłyszałam, bo siedziałam daleko. Pan zerwał się z miejsca i uderzył go w buzię, aż kolega zatoczył się i upadł. Innym razem zepchnął kolegę ze schodów.

Dyrektorka szkoły jest w oskarżeniach ostrożna:

– Stałam się dostrzeć do prawdy. Sama nie byłam świadkiem tych pobić, więc przez długi czas nie zajmowałam stanowiska w tej sprawie. Zbadałam wszystkie fakty bardzo dokładnie i doszłam do wniosku, że te wydarzenia miały miejsce, ale często były przez dzieci przejawskawiane.

Dalszy ciąg na str. 14

Syndrom mundurowego

BŁAŻEJ TORAŃSKI

Po strzelaninie w podwarszawskim motelu George i zabawie w kotka i myszkę z kieszonkowcami na Dworcu Centralnym stolicy, również w Łodzi policja dowiodła, że zmiana nazwy i pielgrzymka na Jasną Górę nie poprawiły jeszcze jej zdolności zawodowych, nie wspominając o moralności. Ujawnione bowiem dotychczas fakty, dotyczące nocnej strzelaniny na ulicy Kolumny, narzucają jedną ocenę: była to policyjna samowola połączona z gangsterskim napadem.

Około północy z 20 na 21 listopada ub.r., kiedy większość praworządnych łodzian spała, spod restauracji „Spartakus” przy ul. Kilińskiego odjechał polonez z sześcioma ciskającymi się pasażerami. Kierowca ruszył na widok nadjeżdżającego policyjnego radiowozu. Na sygnały zwiastujące rutynową kontrolę drogową dodał gazu. Niebieski polonez rozpoczął pościg. Trasa ucieczki prowadziła przez ulice Pomorską, Kopcińskiego, al. Piłsudskiego w kierunku Andrzejowa i Andrespola. W okolicach ul. Nicimianej do pościgu włączył się drugi polonez z pododdziału pogotowia policyjnego i patrolowania Komendy Wojewódzkiej Policji.

Po 37 kilometrach, przy szybkości 140 km na godz. osiągniętej na śliskiej nawierzchni przez „znikający punkt”, policyjny polonez zajechał drogę uciekinierom na ul. Kolumny.

Kilka sekund wcześniej policjanci oddali co najmniej 5 strzałów. Dwa pociski przebiły oponę tylnego koła, trzy przeszły przez tablicę rejestracyjną i bagażnik, trafiając w pasażerów. Dwie kule ugodziły Bogusława M. w okolicy łędźwiowej, jedna Marka S. w łopatkę. Ranna miała wykrzyknąć: – Coś dostałam!

Trzech mężczyzn ze ściganego poloneza pod osłoną ciemności zbiegło. Policjant Antoni K. odciągnął na pobocze jezdni obie kobiety i na miejscu wymierzył im karę uderzeniami ręki w twarz. Nie obešlo się bez popularnych wulgaryzmów na „k”. Drugi policjant zajął się postrzelonym Markiem S. Przystawił mu do głowy pistolet i wycałował, niczym zawodowy złodziej-kieszonkowiec, pozbawił go paru osobistych przedmiotów, których wartość oszacowano później na sumę niewiele przekraczającą 14 tysięcy zł.

Ludzie w służbowych mundurach zrabowali jeszcze akumulator i jakby nigdy nie się nie wydarzyło opuścili miejsce gangsterskiego napadu. Liczyli na zatajenie faktów. Do władz policyjnych nie złożyli żadnego raportu.

Postrzelony mężczyzna poszedł do domu. Bogusława M. do najbliższego szpitala, gdzie wyjęto jej z ciała jeden pocisk. Drugi utknął w...rajstopach.

Porzuconego w polu poloneza, jak się później okazało – skradzionego tydzień przed dramatycznym wydarzeniem – odnaleziono przypadkowo nad ranem. Na „policyjny ślad” wskazywały jedynie zeznania poszkodowanych pań, które równocześnie nie przyznawały się do znajomości z pozostałymi współpasażerami.

Uruchomiona została machina policyjnych czynności: zarządzono oględziny odnalezionego pojazdu i wszystkich radiowozów patrolujących tej nocy miasto, zabezpieczono broń policjantów pełniących wówczas służbę, badano pociski, poszukiwano łusek, zlecono ekspertyzy mechaniczne i inne.

Pierwszym wrażeniem, jakie odniósł minister spraw wewnętrznych – Krzysztof Kozłowski po zapoznaniu się z faktami, było przekonanie, że policja tym razem została wciągnięta w porachunki między gangami. Niepoddanie się kontroli drogowej, ucieczka, mogły stworzyć u policjantów przekonanie, że mają do czynienia z podejrzanymi. Z drugiej strony udział w pościgu oznakowanych radiowozów nie był jeszcze wystarczającym dowodem na uczestnictwo w tym zdarzeniu funkcjonariuszy policji. Dlatego minister zażądał od Komendy Głównej Policji wyjaśnienia sprawy.

Niezameldowanie zaraz przez policjantów kierownictwu dowodzenia o wszczęciu pościgu jest zdaniem ministra Kozłowskiego niewątpliwie sprawą poważną. Dotyczy to również użycia przez nich broni służbowej. Czy uczynili to samowolnie, łamiąc wyraźnie znane im dobrze przepisy prawa? Na to pytanie musi odpowiedzieć prokurator. Ale jeśli postępowanie karne potwierdzi samowolę policjantów, Krzysztof Kozłowski opowie się za najsurowszym ukaraniem winnych.

Według oceny ministra zeznania pokrzywdzonych są jednak dość dziwne. Każdy bowiem z uczciwych obywateli, jeśli zostałby postrzelony, pobity i ograbiony, zeznawałby o tym w sposób jasny i nie budzący wątpliwości. Nie powinien niczego ukrywać. Tymczasem zeznania poszkodowanych w tej sprawie zdają się potwierdzać, że osoby pokrzywdzone nie są zainteresowane w ujawnieniu pełnej prawdy. Stąd domniemanie szefa resortu spraw wewnętrznych, że policjanci zostali wmieszani w jakieś ciemne sprawy świata przestępczego.

Na początku grudnia nadeszły wyniki ekspertyz z centralnego laboratorium Komendy Głównej w Warszawie. 7 i 8 grudnia prokurator zawezwał krąg podejrzanych do czterech policjantów. 46-letniemu Antoniemu K. (19 lat służby) zarzuca się użycie broni palnej, naruszenie nietykalności cielesnej pokrzywdzonych kobiet i znieważenie słowne. Andrzejowi L. (34-letni, 8 lat pracy w resorcie) prokurator postawił zarzut: „rozbój przy użyciu niebezpiecznego narzędzia”, spowodowanie obrażeń ciała. 32-letnie-

Dalszy ciąg na str. 14

Widziane z Łodzi

J. P.
w Łodzi

I-86033/82

Zapowiadana jako cud wydawniczy nowa książka telefoniczna województwa łódzkiego, którą wyprodukowała spółka UNI-FILM, okazała się dość przeciętnym spisem abonentów, chociaż w dwóch tomach. Mimo wielu braków, sygnalizowanych nam przez czytelników posiada ona także cudo w postaci: oficjalnie znajduje się w sprzedaży, chociaż tak naprawdę, to jej nie ma. Czyli wszystko normalnie, jak za komuny. Poczta i telefonia nieustannie się reformują albo podnoszą ceny, nikt więc nie ma głowy, aby pomyśleć o właścicielach telefonów. Czy im zresztą nie powinno wystarczyć, że posiadają w domu urządzenie, na które inni czekają latami?

Wielu łodzian musiało spędzić bezmieśne święta: w sklepach powitały ich nagie haki i sprzedawcy zmywający puste lada. Jak stąd widać handel nie zawiodł, pracownicy byli na swoich miejscach. Tylko czy wszyscy na właściwych?

Zdymisjonowana, choć wciąż urzędująca minister kultury p. Izabella Cywińska, dała się ubliżyć wojewodzie Waldemarowi Bohdanowiczowi, dzięki czemu Sławomir Pietras pozostał na stanowisku dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi. Chwała Bogu, lista straci kultury polskiej, pod światłym kierownictwem tej energicznej damy, będzie przynajmniej krótsza o jedną pozycję.

Po długich miesiącach bezdomności Filharmonia Łódzka przeniosła się wreszcie do własnej siedziby przy Piotrkowskiej 243, gdzie przed laty mieściło się kino „Lutnia”. Na inaugurację wykonano IX Symfonię Beethovena, zawierającą jak wiadomo słynną „Ode do radości”. Sądzi się jednak, że nie ma się co cieszyć z zapowiedzi o tymczasowości tej siedziby – prowizorki mają w Polsce to do siebie, że trwają najdłużej. Położony z dziesięć lat temu kamień węgielny pod nowy gmach dawno porósł mchem, a pień nadziei ze społecznej zbiórki zżarła inflacja.

W murach pałacu należącego niegdyś do Spółki Akcyjnej Wyróbów Bawełnianych I.K. Poznańskiego odbywał się bal sylwestrowy reklamowany przez organizatorów oraz patronujący imprezie „Dziennik Łódzki” jako najdroższy w mieście. Nabywcom kart wstępu a' 700.000 zł od osoby przygrywały trzy orkiestry.

W jakim stylu żyć pan sobie wnieść swój pałac? – miał spytać fabrykanta (kapitał zakładowy 5 mln rubli) architekt.

– Stylu? – zdziwił się Ignacy K. Poznański. – Mnie stać na wszystkie style.

Duch prawowitego właściciela nie opuścił, jak widać, na dobre murów obiektu przy ul. Ogrodowej, duch zawsze jest trwalszy od materii.

Zygmunt Bartkiewicz, autor głośnego „Złotego miasta” usiłował blisko sto lat temu założyć w Łodzi salon artystyczny, ale spotkała go sromotna klęska. Jak niepyszny musiał uchodzić do Warszawy. Krystyna Wawrzkiwicz, kierownik impresariatu zagranicznego „Artpolu”, agencji artystycznej działającej przy Muzeum Historii Łodzi usiłuje wrócić do tej idei. Na jedną z imprez zaprosił Wojciecha Młynarskiego. Ostatnio „najczulej i najpiękniej” koledowali w salonie Halina Frąckowiak, Alicja Majewska i Andrzej Zaucha. Wieczór znanych piosenkarzy poprowadził i wyreżyserował łódzianin Włodzimierz Korcz, pianista i kompozytor. Czy powodzenie tego salonu przekreśli wreszcie opinia o „złym mieście”?

Im głośniejszy i częściej mówimy w Łodzi o powrocie do Europy, tym większym powodzeniem cieszą się u nas uzdrowiciele ze Wschodu. Zaczęli więc proces dr. Kaspirowski, a po nim przyszli inni. Ostatnio nawet w Pabianicach otwarto „Gabinet Hanoi”.

Andrzej Gębarowski – redaktor numeru,
Janusz Kozłowski – redaktor techniczny,
Grażyna Olechnowicz – sekretarz redakcji,
Dariusz Romanowicz – grafik.
Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. H. Sienkiewicza 3/5 tel. 36-52-44. Fax – 86-71-87.
Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy” na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne.

Zwolna opadają emocje prezydenckiej kampanii wyborczej, jeśli można użyć sportowej terminologii, po dogrywce w Belwederze nastąpiła wymiana rezydentów i tylko jeszcze długo na murach będą wisieć strzępy plakatów agitujących wyborców. Nadal jednak trwają dyskusje o naiwnych nadziejach jednych i tyleż ufnym, co równie naiwnej wierze w moc meża opatrnościowego drugich. Kandydaci do Belwederu wyrażali radykalne postulaty przebudowy życia zbiorowego, opierające się na krytyce istniejącej rzeczywistości i marzeniach ludzi o idealnym porządku społecznym.

Od czasu, gdy portugalski podróżnik Rafał Hydoldeusz, bohater wydanej w 1516 r. przez Tomasza Morusa „Książeczki zaiste złotej i niemniej pożytecznej jak przyjemnej o najlepszym ustroju państwa i nieznanego dotąd wyspie Utopii”, opowiadał o odkrytej przez siebie szczęśliwej krainie bez nędzy i wyzysku, wolnej od kłamstwa i przemocy, bez ciemnoty i nietolerancji, bez zawiści i złości, bez próżniactwa i bez pracy nad siłą, ludzie tęsknią do Utopii – dobrego miejsca, którego nie ma.

W długim szeregu autorów dzieł utopijnych, obok Campanelli i Bacona, Swifta i Rousseau, Cabeta i Morrisa, Huxleya i Wellsa odnaleźć można i Polaków. Jedną z najbardziej znanych polskich utopii jest wizja Polski szklanych domów, którą bohaterowi „Przedwiośnia” przedstawia umierający ojciec. Dramatyczna konfrontacja opowiadania ojca z rzeczywistością wywołuje u Cezarego Baryki bunt i przyłączenie się do idącej na Belweder manifestacji robotniczej, złożonej z „bezrobotnych wskutek fabrykanckiego lokautu, strajkujących wskutek drożyzny i niemożności wyżycia z płacy zarobkowej tak nędznej, jaka była ich udziałem”.

Utopia nie znosi racjonalnego chłodu i dystansu, wymaga silnego napięcia emocjonalnego, wyrażanego wprost lub pośrednio, między pojmowanymi normatywnie ideałem a podawaną krytyce rzeczywistością. Lewis Mumford wyróżnia utopie ucieczki, eskapistyczne (szczęśliwa Arkadia, wiek złoty, dawne dobre czasy konserwatystów różnych epok), i utopie heroiczne, które łączą marzenia o lepszym świecie z programem i nakazem działania. Te ostatnie to utopie polityki.

Od zamierzonych czasów znany jest mit wielkiego człowieka, władcy lub prawodawcy, który zmienia świat. Dla Platona był to tyran Syrakuz

Dionizjusz, dla Morusa wymyślony przez niego mądry król Utopus, dla Fouriera – Napoleon, dla Polaków w XX wieku Marszałek Piłsudski i ostatnio Lech Wałęsa.

Czasy nowsze przyniosły mit rewolucji jako cudownej przemiany społeczeństwa złego w doskonałe na mocy jednego jak gdyby aktu, niemal z dnia na dzień. Utopista, niezależnie czy

Potrzeba utopii

JAN WOLBORSKI

chodzi o zburzenie Bastylii, zdobycie Pałacu Zimowego, czy też o odkrycie polskiej przeszłości grubą krechą, widzi wywołane tym faktem przemiany jako całkowite zerwanie historycznej ciągłości, jako jednorazowy przeskok do doskonałości. Mają one moc aktu rozstrzygającego ważne problemy społeczne raz na zawsze.

Wielka Rewolucja Francuska, podobnie jak dziś wielu Polaków, żyła hasłami zaczynania wszystkiego od nowa, całkowitego zerwania z przeszłością i zbudowania zupełnie nowego społeczeństwa. Symbolem tego między innymi była dekapitacja króla, ale również zmiany nazw ulic i zupełnie nowy kalendarz.

Odwolując się do marksizmu ruchy rewolucyjne, na przykład bolszewicki, popadły w utopię polityki, to znaczy przekonania o możliwości wielkiego skoku, spowodowaniu radykalnej zmiany obejmującej całe społeczeństwo – wybuch rewolucji światowej i zwycięstwo komunizmu w skali całego globu. Utopista polityki musi wziąć udział w grze, bo aby zniszczyć zastany świat, trzeba w nim uczestniczyć i stąd paradoksy: terror stosowany z miłości do ludzi i nienawiści do przemocy, wojny prowadzone w imię świata pokoju itp.

Utopie polityki dają ludziom wartości, o które warto walczyć, stają się programami politycznymi, sztandarami społecznych walk, ale triumfy utopii są w historii czymś wyjątkowym. Raju na ziemi nie da się osiągnąć, rezultat walki umyka spod kontroli walczących i wtedy interpretacja osiągniętego stanu może być dwójaka: walczyliśmy o wolność i sprawiedliwość, a więc to, co wywalczyliśmy, jest wolnością i sprawiedliwością, albo też starym porządkowi przeciwstawiliśmy idealny, a więc nasz nowy porządek jest porządkiem idealnym.

Lech Wałęsa jest człowiekiem niecierpliwym – mówi nowy premier

ne rozczarowanie. Najostrejszy w sformułowaniach jest bodaj wymieniony przez Kisielewskiego profesor Stefan Kurowski, twórca programu gospodarczego PC („Gazeta Wyborcza” nr 6);

„Trzeba z przykrością powiedzieć, że program zawarty w exposé premiera (Jana Krzysztofa Bieleckiego, ostatecznie wybranego przez Wałęsę – przyp. AG) to w 96 procentach program starego rządu. Mało w nim liberala Bieleckiego, a bardzo dużo dotychczasowego dyktatora gospodarczego – Balcerowicza.

Nowe to m.in. zapowiedź przyspieszenia małej prywatyzacji, rozpoczęcia procesu upadłościowego przedsiębiorstw, a także werbalny postulat, że „pracownicy muszą mieć realne szanse lepszej płacy za lepszą pracę”.

Reszta to kontynuacja, rozwinięcie polityki ubiegłorocznej lub bezpośrednie przenoszenie sformułowań z dokumentów poprzedniego rządu i jego wicepremierów.”

Równie, jak Kurowskiemu, nie podoba się poprzedni i obecny wicepremier Kisielew (Wprost” nr 1, w rozmowie z Gabrielem).

– „Wściekl się pan, że Wałęsa nie wykluczył kandydatury Balcerowicza jako premiera lub wicepremier?”

– Owszem, mówiłem o tym. I nadal uważam, że kontynuowanie monetarnej polityki Balcerowicza byłoby bez sensu. On zrobił co prawda małą prywatyzację, ale dał w dupę chłopom i rzemieślnikom, czyli jedynym producentom, którzy przetrwali komunizm. Nadto zaś – co najważniejsze – nie ruszył ciężkiego przemysłu. Śląsk, Wałbrzych, Konin, Bełchatów, Lubin – to wciąż nie rozstrzygnięte problemy. A przecież kończy się kariera węgla, stali, miedzi i siarki... Balcerowicz odniósł pewne sukcesy w dziedzinie monetarnej, w dziedzinie drobnego handlu i eksportu, natomiast Polska domaga się zasadniczej reformy prywatyzacyjnej, której nie da się przeprowadzić bez udziału kapitału zagranicznego”.

Wbrew ostrzeżeniom Kisielew postać Leszka Balcerowicza pozostaje w dalszym ciągu kluczowa. Toczą się jednak spory, czy nadal będzie on „ekonomicznym dyktatorem”, czy też osłabnie jego pozycja w nowym rządzie. Jan Bazyli Lipszyc („GW” nr 5) uważa, że raczej wzrośnie:

„Nie wiadomo, czy premier Bielecki będzie chciał i mógł na bieżąco nadzorować sprawę gospodarczą, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Widać więc wyraźnie, że pozycja Balcerowicza staje się obecnie znacznie mocniejsza niż w rządzie Mazowieckiego. Będzie jedynym zastępcą premiera i będzie miał znacznie większe możliwości kontrolowania całej gospodarki niż poprzednik”.

W ten sposób z utopii rodzi się apologetyka, a najważniejszym zadaniem staje się obrona nowego porządku. W miarę tego, jak nowy porządek przybiera kształty realne, odrębność interesów daje o sobie znać. Zadowoleni są apologetami tego porządku, niezadowoleni szukają nowej utopii. Mechanizm ten w życiu zbiorowym funkcjonuje bezbłędnie od lat, jest swoim społecznym perpetuum mobile.

George Orwell, autor utopii negatywnej, jaką jest „Rok 1984”, wypowiada na ten temat sarkastyczną opinię, że taka jest reguła i cała historia to nic innego, jak tylko „szereg szwindłów polegających na tym, że masy wabi się do buntu obietnicą Utopii, aby następnie, kiedy zrobią już swoje, zniewolić je na nowo pod władzą nowych panów”. Podróż do nie istniejącej wyspy szczęśliwej musi zacząć się od nowa.

Utopię Anatol France nazywał „zasadą wszelkiego postępu, dążeniem do ludzkiej lepszej przyszłości”. Jest więc utopia sprzeciwem wobec petryfikacji życia społecznego i absolutyzacji aktualnych podziałów politycznych, jest próbą rozpoczęcia niejako od nowa sporu o kształt społeczeństwa, odmową akceptacji obiegowych standardów myśli politycznej.

W czasach skomplikowanych powikłań życia zbiorowego utopia może dostarczać ludziom punktu oparcia, jakiego nie znajdują w sferze stosunków rzeczywistych. Może również pobudzać zbiorowy wysiłek mający na celu obalenie panującego porządku. Są więc utopie swoistą diagnozą i oceną życia społecznego, schronieniem dla słabych i horyzontem, do którego dąży najsilniejszy, choć horyzont tym bardziej się oddala, im bardziej do niego zmierzamy.

Niezależnie od sposobu artykulacji, przybierającej postać intelektualnej konstrukcji czy praktycznej działalności, od Platona aż po współczesność, a zapewne i w przyszłości utopie są i będą wyrazem tęsknoty człowieka, w wymiarze jednostkowym i zbiorowym, za krainą lepszą niż ta, w której przychodzi mu żyć, za krainą dobra i szczęśliwości, dla której nazwę w XVI wieku wymyślił Tomasz Morus. Tęsknotę taką przed blisko pięćmioma wiekami mógł wyzwać blagujący w tawernie portugalski żeglarz, a współcześnie w Polsce wyzwoili ją polsko-kanadyjsko-peruwiański kandydat na prezydenta. Przecież każdy z nas nosi w sobie wyobrażenie własnej Utopii.

Nieco odmiennego zdania jest sam premier Bielecki. W wywiadzie dla „Tygodnika Gdańskiego” (nr z 6 stycznia br.) powiedział on:

„Uważam, że skoro rząd ma być „gospodarczy”, to premier nie może mieć wpływu na kształt reform ekonomicznych. Kluczem będzie osiągnięcie pewnego kompromisu z Leszkiem Balcerowiczem tak, by wszyscy byli zadowoleni.”

A zatem – wyjaśnia premier – nie ma mowy o dyktacie, a zamiast niego będzie kompromis. Czy będzie on trudny do osiągnięcia? Z wypowiedzi premiera wynika, że raczej łatwy:

„Na pewno na wiele spraw mamy obaj te same poglądy. Natomiast są różnice w naszych podstawowych zainteresowaniach. Jego interesują przede wszystkim relacje pomiędzy zasadniczymi parametrami ekonomicznymi (kwestia bilansu płatniczego, stopy procentowej, poziomu inflacji etc.); mnie natomiast obchodzi głównie żywy podmiot gospodarczy – przedsiębiorstwo (państwowe, prywatne, spółdzielcze) i jego funkcjonowanie. Po prostu, w ramach tego samego poglądu na gospodarkę rynkową lubimy spoglądać na nią z różnych punktów widzenia”.

Obaj panowie, Bielecki i Balcerowicz, wyznaczeni zostali na swą funkcję przez prezydenta. Balcerowicz zgodził się pod pewnymi warunkami (takimi mianowicie, że będzie mógł kontynuować swój program), zaś Bielecki – poczuł się „odelegowany” przez Lecha Wałęsę. Powstaje zatem pytanie, czy będzie on samodzielnym politykiem? Gdzie będą granice jego samodzielności?

I znów „Tygodnik Gdański”; mówi premier Bielecki:

„Jestem przekonany, że decyzje będą zapadać w Urzędzie Rady Ministrów. W przeciwnym razie, prezydent przejmowałby na siebie odpowiedzialność za wiele szczegółowych decyzji. A to nie byłoby korzystne. To, czy nie dojdzie do takiej sytuacji, zależy od mojej szybkości i zrzeczności, a nie od zapędów prezydenta do podejmowania ręcznego sterowania rządem. Wałęsa jest człowiekiem niecierpliwym, i gdy nic się nie będzie działo – spróbuje oddziaływać na Radę Ministrów. Ale jeśli rząd będzie sprawny, to prezydent powinien się tylko cieszyć i ewentualnie organizować jak najszerze poparcie dla całego procesu transformacji”.

A zatem pozostaje mieć nadzieję, że prezydent Lech będzie zadowolony ze swojego premiera. Trzeba też wierzyć, że jeden z nich będzie zrzeczny i szybki, a drugi wystarczająco cierpliwy. Gdy nie posiada się konstytucji, adekwatnej do nowych czasów, najważniejsza jest wiara w osobiste zalety przywódców.

AG

– Jest pan człowiekiem sukcesu. Jak to się stało, że rezygnując z pracy na Politechnice Łódzkiej, a nawet wyrzekając się własnego warsztatu mechaniki precyzyjnej, zainteresował się pan ubezpieczeniami? Przecież jeszcze nie tak dawno traktowana lekceważąco „Westa” – dziś potentat finansowy – jest niewątpliwie pańskim dzieckiem.

– Nie wiem, jak to się stało. Ale nie wiem też, co sprawiło, że spotkałem na swej drodze moją obecną żonę. Za to jestem szczęśliwy, że ją mam. „Westa” powstała trzy lata temu, to smutak czasu. Nie wszystko szło jak po maśle, ale mnie kłopoty urzekają.

– W Polsce ich nie brak. Ma pan swoistą filozofię życiową...

– To raczej kwestia wychowania. Mam trudny sposób bycia. Pewne rzeczy mówię dosadnie i prosto. Wielu się to nie podoba, zwłaszcza ludziom piastującym jakiś urząd.

– Pewnie chodzi o Ministerstwo Finansów...

– Nie ukrywam, że różnię się poglądami z niektórymi spośród jego pracowników. Uważają oni, że dążą do pozycji monopolisty w ubezpieczeniach. Ale to oczywiście nieprawda. Patrząc na sprawę nie tylko pod kątem korzyści firmy, ale także interesów ogółu. Ja rozumiem nawet tych urzędników: są skrupolani prawem, które zresztą bardzo szybko się zmienia. W sporze o ustawy i przepisy wykonawcze, dochodzi do zderzenia rzeczywistości i doświadczenia z idealem, żeby nie powiedzieć z marzeniami.

– I cóż jest tym ministerialnym ideałem?

– Pragnienie natychmiastowego zrównania się z Europą. Ktoś tam, na dość wysokim szczeblu uznał, że odszkodowanie dla właścicieli pojazdów mechanicznych z tytułu odpowiedzialności cywilnej powinno wynosić 4.200.000.000 zł. To niby tylko mniej więcej 420.000 dolarów. Odpowiada to światowym standardom, ale jak się ma do polskich realiów? Dlatego głośno twierdzę, a nawet krzyczę, że tam chyba powariowali. Aby zapewnić ochronę ubezpieczeniową w takiej wysokości, jak wysoka musiałaby być stawka. Kogo na to stać?

W wyniku dyskusji doszliśmy do wniosku, że chcemy tego samego. Ostatnio ministerstwo ustaliło stawkę odszkodowania odpowiadającą wymogom europejskim, ale także polskim realiom. Zadowolone są obie strony.

– No właśnie. Słyszysz się głosy, że jest pan wrogiem kapitału obcego. Nie tak dawno bardzo wpływała gazeta niemiecka „Frankfurter Allgemeine Zeitung” zarzuciła „Wescie” obawę przed konkurencją zagraniczną, co się miało manifestować pańskimi zastrzeżeniami do nowej ustawy ubezpieczeniowej.

– Nie jestem wrogiem obcego kapitału, współpracuję z nim i daję mu zarobić, chętnie też widziałbym go w spółkach „Westy”, takich jak „Polonia” czy „Westa-Life”, nie chciałbym jednak, aby te spółki stały się jego własnością.

Urabia mi się taką opinię celowo, gdyż do nas przyjeżdża, jak na razie, kapitał dość mizerny, często różnego rodzaju cwaniacy, z myślą o tym, aby nas wykorzystać. Duży kapitał jest ostrożny i pojawia się wówczas, gdy będą u nas klarowne zasady podatkowe i stabilizacja polityczna. Wielki kapitał nie będzie się pchał w niepewny interes.

– Uważa pan, że taki czas jeszcze nie nadszedł?

– Mam poważne wątpliwości, kiedy pomimo ogromnych zysków „Westy” nie mogą dać podwyżki swoim pracownikom. W ciągu dziesięciu miesięcy zapłaciliśmy dwa i pół miliarda „popiwku”, nie mogąc osiągnąć nawet średniej krajowej płacy. Szanujemy przepisy, ale one są nie-dobre dla uczciwych.

A co do zagranicznej konkurencji. W Polsce się liczymy, ale w skali świata jesteśmy zaledwie maleńkim zakładem ubezpieczeniowym. Przy tym tamci obracają dolarami, a my tylko złotówkami.

– Już dziś widać, że nowa, lipcowa ustawa o ubezpieczeniach nie jest doskonała. Jaki wpływ na nowe rozwiązania miały zakłady ubezpieczeniowe?

– Robiliśmy wszystko, aby rządowy projekt przystosować do polskich warunków, udało nam się to tylko częściowo. To właśnie wtedy demagogicznie zarzucono mi dążenie do monopolu. Skutek zaś jest taki, że minister finansów osiągnął praktycznie wszystko, nam zaś dano na osłodę Izbę Ubezpieczeniową.

Niektóre przepisy tej ustawy kryją w sobie poważne niebezpieczeństwo. Już teraz mogą powstać spółki joint ventures, jeśli jedna akcja imienna będzie należała do Polaka. Niestety,

stąpienie do Urzędu Antymonopolowego. „Westa” ma zresztą za sobą poparcie sporej grupy posłów, którzy zwrócili się pisemnie do ministra sprawiedliwości o wstrzymanie wejścia w życie do roku 1993 niektórych przepisów ustawy o działalności ubezpieczeniowej. Chodzi tu o niebezpieczną praktykę obchodzenia zakazu wchodzenia na polski rynek obcego kapitału ubezpieczeniowego. Nie mogą tworzyć swych przedstawicielstw, obcy kapitał ubezpieczeniowy wciska się do nas tworząc spółki mieszane, w których ma większość udziałów. Nic dziwnego, że nie jestem lubiany w Ministerstwie Finansów. Ale lęku nie czuję. Zresztą sprawa ubezpieczeń ustawowych – obowiązkowych straci znaczenie po 1 stycznia 1991 i zauważyliśmy, że nasze cele są te same, ale spojrzenie jest odmienne – patrzymy z dwóch różnych stron. Stąd spory i nieporozumienia dla dobra społeczeństwa. Myślę, że spory trwać będą, ale ich ocena będzie pozytywna.

Ale urzędnicy są bardzo pomysłowi, a tak naprawdę boją się odpowiedzialności. Są to nowy-

– Jak widzę „Westa” nie przestraszyła się tego ryzyka?

– Dużo przeszedłem, znam mechanizmy działań UB, IKRów, PIHów, NIKów. Miałem do czynienia z prokuraturą, sądem. Na szczęście sądy w Polsce są uczciwe i dlatego nie czuję lęku.

– Wkrótce zapewne odbędą się wybory do Sejmu. Czy zamierza się pan ubiegać o mandat w parlamencie? W czerwcowych wyborach nie odniósł pan sukcesu.

– Nie czuję się przegrany. Uważam, że mam obowiązek dotrzymać słowa tym, co na mnie wtedy głosowali. Od marca 1945 r. mieszkam w Łodzi, na Górnej, moi rodzice wywodzą się z Łodzi. Z moją dzielnicą wiąże mnie sentyment. Dlatego staram się wspierać Szpital im. K. Jonschera. Postanowiłem wyposażyć go w nowoczesną aparaturę, aby dać odpowiednie narzędzia pracy zatrudnionym tam lekarzom. Ma on przecież wspaniałych fachowców. Doskonale

Czuje się zatwardziałym łodzianinem

Rozmowa z dr. JANUSZEM BARANOWSKIM – prezesem Rady Nadzorczej Spółdzielczego Zakładu Ubezpieczeń „WESTA”

polskie złotówki nie są przygotowane do wielkiej konkurencji. A co będzie, jeśli zbankrutuje PZU? Już dziś nie jest w najlepszej kondycji finansowej. W związku z tą ustawą mogę się więc czuć przegrany jako Polak, choć jako kierownik „Westy” dostrzegam szansę dla naszego zakładu.

– Ma pan zapewne na myśli ubezpieczenie komunikacyjne? O ile mi wiadomo na tym tle powstał nowy spór między Ministerstwem Finansów a „Westą”.

– Nowe przepisy zniosły dotychczasowy podział ubezpieczeń komunikacyjnych na ustawowe i umowne. Od tej chwili wszystkie ubezpieczenia powstają na podstawie umowy zawieranej między stronami, choć niektóre są obowiązkowe, a inne dobrowolne. Ministerstwo Finansów to przeoczyło niesłusznie sądząc, że ubezpieczenia obowiązkowe to nic innego jak dawne ubezpieczenia ustawowe, zastrzeżone z mocy prawa dla PZU. Kiedy złamaliśmy wyłączność tego zakładu ubezpieczeń, urzędnicy Ministerstwa Finansów przypuścili kontratak. Sądzieli, że jak dawniej, bez oglądania się na ustawę, mogą tworzyć prawo powielaczowe. A jest to po prostu arogancja prawna obecnego rządu. Jej przejawem jest to, że powołany do tego urząd nie opracował ogólnych warunków ubezpieczeń. Dostałem nawet z Ministerstwa Finansów pismo, które głosi: „W związku z przyjmowaniem przez SZU „Westa” ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej posiadaczy pojazdów mechanicznych za szkody powstałe w związku z ruchem tych pojazdów informuję, że Biuro Systemu Bankowego i Instytucji Finansowych Ministerstwa Finansów skierowało do Departamentu Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości wniosek o zbadanie sprawy i wszczęcie postępowania karnego z art. 91 ustawy z dnia 28 lipca 1990 r. o działalności ubezpieczeniowej (Dz.U. Nr 59, poz. 344) oraz art. 205 par. 1 kodeksu karnego”.

– Czy zrobiło to na panu wrażenie?

– Sądzę, że jest to odpowiedź na nasze wy-



Foto: Grzegorz Michałowski

ki systemowe, dlatego tak trudno z tym walczyć. Jeśli coś nie wyjdzie, ministerstwo szuka kozła ofiarnego. Za błędne decyzje urzędników zapłaci utratą stanowiska prezes PZU p. Adamski. To bardzo dobry fachowiec, kieruje dziś firmą „Compen-sa”. Ministerstwo dopiero 18 grudnia ogłosiło ogólne warunki ubezpieczeń obowiązkowych, co narażło zakłady ubezpieczeń na wielkie ryzyko. Są to jednak dobre warunki i uwzględniają sugestie ubezpieczycieli, w tym „Westy”; zrównują prawa Polaków z innymi Europejczykami.

postawiona jest okulistyka, oddział ortopedii, neurologii, chorób wewnętrznych. Choć nie urodziłem się w Łodzi, bo rodzice musieli uciekać stąd w czasie okupacji, czuję się zatwardziałym łodzianinem. Dlatego „Westa” ma siedzibę w Łodzi, a nie w Warszawie, choć mamy tam budynek będący własnością naszej spółdzielni.

– Łódź panu sprzyja...

– Odpląca mi się za moje pomysły. Pierwszy przełamane monopol PZU. Z mojej inicjatywy powstała pierwsza w Polsce giełda towarowa. Oczywiście w Łodzi. Pierwszy zainicjowałem izbę rachunkową i lizing. To „Westa” otworzyła pierwszy w Polsce po wojnie lombard. Wiele firm w Łodzi istnieje tylko dlatego, że „Westa” im pomogła. Działają i odnoszą sukcesy.

– Mówi się o panu, że łączy pan w sobie cechy biznesmena i społecznika.

– Staram się pomagać szkołom, organizacjom społecznym. Kościółowi na tyle, na ile nas stać. W tej chwili marzę o tym, aby zaczęło funkcjonować w Rzeszowie lotnisko towarowo-pasażerskie. A jednocześnie żyję dość skromnie, jeżdżę dwunastoletnim samochodem. Żona pracuje w szkole, nie korzysta z żadnych przywilejów, cechuje ją skromność.

Ale firma nie może być skromna. „Westa” ma volkswagena, citroena i mercedesa 560. Budujemy krajową sieć komputerową wartości kilku milionów dolarów. Tak trzeba, bo jesteśmy w Europie.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

KONRAD FREJDLIH

Łagodniejszy scenariusz?

Najpierw palono zbory, później rabowano mienie ich obrońców, a jeszcze później niszczone komentarze protestanckie, wywiekając zwłoki z trumien. Jak twierdzi w swojej książce „Świt i zmierzch polskiej reformacji” znany historyk Janusz Tazbir – takie scenariusze wydarzeń były w naszym kraju na przełomie XVI i XVII wieku regułą. Z czasem ataki na zbory przeszły w ataki na pojedyncze osoby wyznania protestanckiego. Złapanych bito, wleczono po ulicach, próbowano topić. W napa-dach przodowali uczniowie szkół jezuickich.

Dziś łagodniej obchodzi się z innowiercami. Nie pali się już świątyń, nie wywieka-

zwłok z trumien. Innowierców już się nie topi i nie wlecz po ulicach, ale kochać ich „jak bliźniego swego” jest nam niezwykle trudno. Wiosną 1990 r. przeprowadziłam sondę uliczną. Przypadkowym przechodniom zadałam trzy pytania: Co sądzą o Żydach, innowiercach i homoseksualistach. Odpowiedzi wskazywały na to, że nie tylko ich nie kochamy, ale wręcz żyjemy w stosunku do nich wrogię uczucia. Po pół roku długich, jałowych dyskusji w prasie i telewizji na temat „czy Polacy są tolerancyjni”, znów przeprowadziłam sondę. Tym razem trzydziestu wybranych Polaków zadałam dwa pytania: „Co sądzą o in-

nowiercach” i „Czy Polacy są tolerancyjni?” Na 30 osób tylko 10 zgodziło się udzielić mi odpowiedzi. Oto one:

70-letni katolik:

– Prawosławni niech jadą do Ruskich, a ewangelicy do Niemców. Polska to kraj katolicki. Czy Polacy są tolerancyjni? Chyba tak...

16-letni uczeń szkoły średniej, katolik:

– Chodzę na religię w szkole, bo gdybym nie chodził, to nie byłbym tolerowany w swoim środowisku. Ale czy jestem katolikiem – nie wiem. Wierzę w Boga, ale nie czuję się szczególnie związany z religią katolicką. Czy Polacy są tolerancyjni? Nie! Zdecydowanie nie!

22-letnia studentka, katolicka:

– Ja osobiście nie mam nic do innowierców. Czy Polacy są tolerancyjni? Nie

wiem, nie zastanawiałam się nad tym.

30-letni świadek Jehowy, wykształcenie wyższe:

– Niech pani kiedyś przyjdzie do mnie do domu, to sobie porozmawiamy. Opowiem pani jak byłem szczuty psami, zrzucały ze schodów, goniły przez pijaków, jak uchylałem się przed rzucanymi we mnie przedmiotami, jak mi ubliżano, pluto w twarz... Oczywiście to były sporadyczne wypadki – ale były. Nie będę odpowiadał na pytanie czy Polacy są tolerancyjni. Nie muszę tego robić. Wystarczy, że przedstawię fakty. Niech one same mówią za siebie.

40-letni bezrobotny, wykształcenie zasadnicze zawodowe, katolik:

– To wy, dziennikarze tak rozdmuchujecie ten problem nietolerancji. Z igły robicie widły!

Podpity mężczyzna około 40 lat:

– W poszukiwaniu sensacji robicie z Polaków łobuzów, wariatów i morderców. Ja rozumiem, że dziennikarze żyją z sensacji, ale wy naprawdę przesadzacie.

18-letnia uczennica liceum ogólnokształcącego, katolicka:

– Nie mam nic do osób innych wyznań. Osobiście myślę, że ludzie młodzi, tacy jak ja są tolerancyjni. To ludzie w wieku naszych rodziców zięją nienawiścią do każdego, kto odbiega od ustalonej i przyjętej przez nich „normy”. Tu chodzi nie tylko o innowierców, ale i o różne ugrupowania młodzieżowe, niesłubne małżeństwa, słowem o wszystkich, którzy mają odwagę być „inni”.

40-letnia ekonomistka, katolicka:

– Ja nie mam nic do innowierców. To młodzież wypisuje na murach różne hasła.

60-letni rencista, katolik:

– Paru szczeniaków smaruje po murach dla zabawy różne bzdury, a przemądrzali socjologowie wyciągają z tego wnioski i uogólniają na całe społeczeństwo.

60-letnia rencistka, katolicka:

– Nie mam nic do protestantów ani prawosławnych, ale Żydów Polska powinna się pozbyć. To oni doprowadzili nasz kraj do ruiny. Czy jesteśmy tolerancyjni? Myślę, że dla Żydów nie powinniśmy być.

MAGDALENA GROCHOWALSKA

PS. Sonda przeprowadzona została 19 XII 1990 r. w Łodzi.



Foto: Przemysław Paradowski

Nie igrajcie z kobietami

Rozmowa z przewodniczącą Związku Kobiet Walczących

– Związek Kobiet Walczących – to brzmi groźnie. Cóż to za organizacja?

– Jest to organizacja podziemna, która skupia kobiety walczące o równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Jesteśmy organizacją podziemną, gdyż w dzisiejszej Polsce jawnie działające organizacje kobiece są szykanowane. Zeszliśmy do podziemia TYLKO i wyłącznie ze względu na własne bezpieczeństwo.

– W jaki sposób zamierzacie walczyć?

– Nie mamy zamiaru działać wbrew prawu. Nie będziemy dopuszczać się działalności terrorystycznej – jak próbował zasugerować nam pewien znajomy. Nigdy nie chcieliśmy zejść do podziemia, ale sytuacja niestety tego wymagała. Przyczyniły się do tego wypadki pobicia kobiet, które zbierały podpisy pod listem otwartym do Sejmu i Senatu RP przeciw ustawie antyaborcyjnej, prześladowania aktywnych działaczek organizacji kobiecych, anonimowe telefony z pogroźkami, ataki na osoby rozwieszające ulotki zawiadamiające o mających się odbyć demonstracjach przeciw ustawie antyaborcyjnej itd.

– Skąd taka fala agresji skierowana przeciw wam?

– Społeczeństwo polskie jest nietolerancyjne, a owa nietolerancja podsycana jest przez kler katolicki. Dopóki nie opowiedzieliśmy się przeciw ustawie antyaborcyjnej, byliśmy tolerowane, a pewien ksiądz wygłosił nawet kazanie, w którym mówił, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę równymi i nawoływał mężczyzn do pomocy kobietom w pracach domowych. Kiedy jednak opowiedzieliśmy się przeciw ustawie, posypała się na nas lawina wyzwisk. W jednej z podlubielskich wsi ksiądz rzucił na nas kłutwę, a fanatycy religijni, których nigdy nie brakuje, zaczęli prześladować nas.

– Powiedziała pani już o tym, w jaki sposób nie zamierzacie walczyć. A w jaki sposób zamierzacie?

– Tradycyjnymi sposobami: ulotki, zmiana świadomości społecznej, piętnowanie stereotypów. Chcielibyśmy mieć możliwość publikowania od czasu do czasu własnych tekstów w jakimś piśmie. Wiemy, że takie pismo będzie ciężko znaleźć w dzisiejszych czasach, ale spróbujemy.

– Z pani wypowiedzi wynika, że jesteście nastawione antyklerykalnie. Czy jesteście przeciwne religii?

– Nie. Nigdy nie byliśmy przeciwko religii. Prawie wszystkie jesteśmy wierzące. Wychodzimy z założenia, że Bóg a kościół to dwie różne rzeczy. W ostatnim czasie kler coraz bardziej oddala się od religii, stąd w nas to, co pani określiła jako antyklerykalizm.

– Mówiła pani, że walczyacie o równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Na czym polega brak tego równouprawnienia w Polsce?

– Zaskakująco naiwne pytanie. Wszyscy wiedzą, że równouprawnienia w Polsce nie ma. Jedni się z tym godzą, inni – nie, ale tak czy tak problem istnieje. Podam kilka przykładów: kobiety jako pierwsze zwalnia się z pracy, nie dopuszcza do awansu. Mężczyzna szybko pnie się po szczeblach kariery zawodowej. Kobieta musi być genialna, żeby dostała awans. A ile jest kobiet w polskim parlamencie, w rządzie? – garstka. Kobieta w Polsce musi być matką-Polką, tylko wtedy jest tolerowana. Idźmy dalej:

Unia Polityki Realnej ma w swoim programie pozbawienie kobiet praw wyborczych, a ustawa antyaborcyjna spycha kobietę do roli maszyny do rodzenia dzieci. Kraje zachodnie umieściły Polki na równi z Arabkami, których mężowie codziennie dziękują Allahowi, że nie urodzili się kobietami. Myślę, że Polacy też już za to dziękują Bogu.

– Czy jesteście przeciwnikami mężczyzn?

– Broń Boże! Walczymy również o równouprawnienie mężczyzn. Sprzeciwiamy się prześladowaniu homoseksualistów i niedopuszczaniu mężczyzn do tzw. „kobiecych zawodów” jak np. wychowawczyni przedszkolna, opiekunka do dziecka. Doświadczenia naszych kolegów i koleżanek ze Szwecji dowodzą, że mężczyźni mogą równie dobrze jak kobiety wykonywać te zawody. Wszystko zależy od charakteru i usposobienia, a nie płci. Poza tym jesteśmy rzeczniczkami szeroko pojętej tolerancji.

– Ile członkiń liczy sobie Związek Kobiet Walczących?

– Nie umiem podać dokładnej liczby, gdyż jest ona zmienna. Wiele kobiet popiera nas, zgłasza swoją współpracę, wykonuje jakieś zadanie, a później chwilowo zrywa z nami kontakt. Na ich miejsce pojawiają się nowe.

– „Wykonać zadanie”, to brzmi trochę jak z filmu o Jamesie Bondzie...

– Nie ma w tym nic tajemniczego. „Zadanie” jest zwykle bardzo prozaiczne.

– Na przykład?

– Na przykład skontaktowała się z nami dziewczyna, która twierdzi, że zwolniono ją z pracy tylko dlatego, że jest kobietą. Nie znamy szczegółów. Zleciłyśmy sympatyzującej z nami prawniczkę, żeby zbadała sprawę. Może trzeba będzie podjąć kroki prawne? Albo inne zadanie: osobie mającej dostęp do ksero czy powielacza zlecamy przygotowanie ulotek.

– Jaka jest struktura waszej organizacji?

– Inna niż klasycznej organizacji podziemnej. Naszym celem nie jest ukrywanie się przed policją ani UOP, ale przed nieobliczalnymi fanatykami religijnymi.

– Czy wasi wrogowie usiłowali wpaść na wasz trop?

– Nie, ponieważ jesteśmy jeszcze organizacją nie znaną, ale przygotowujemy się na taką ewentualność.

– Czy przewidujecie dialog z waszymi przeciwnikami?

– Czy można prowadzić dialog z ludźmi, których jedynym argumentem jest stek wyzysk?

– Jak długo zamierzacie być w podziemiu?

– To logiczne. Tak długo, dopóki to będzie konieczne.

– Czy wykorzystując okazję, jaką daje wywiad, chciałaby pani na zakończenie dodać coś od siebie?

– Chciałabym skierować ostrzeżenie do parlamentu RP, Unii Polityki Realnej oraz wszystkich ugrupowań antyklerykalnych i pseudoreligijnych: Uważajcie! Nie igrzajcie z kobietami. W nas też płynie polska krew, a jak uczy historia, Polak w niewoli jest zdolny do wszystkiego!

– To naprawdę brzmi groźnie. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
MARTA TOMICKA

P.S. Przewodnicząca ZKW nie zgodziła się na podanie jej nazwiska do wiadomości publicznej.

Wymierające miasto?

KONRAD FREJDLIH

Pragnienie Kościoła, aby po długich latach nie zawinionej przez siebie nieobecności w środkach masowego przekazu, przemówić pełnym głosem w prasie, radiu i telewizji, budzi wśród niektórych środowisk niepokój, że spowoduje to klerkalizację życia, zablokuje swobodny obieg informacji i uniemożliwi wyrażanie niezależnych opinii. Oczywiście chęć dominacji jest pokusą, której mogą ulegać nawet światobliwi mężowie, ale włączanie sygnałów ostrzegawczych wydaje mi się przedwczesne, jeśli dziennikarze, ci zwłaszcza, którzy powołują się na swą myślową suwerenność, zamiast na klęczkach, będą pisać odpowiedzialnie i prawdziwie. Pokusa ulegania autorytetom bywa bowiem niekiedy silniejsza od ich pragnienia dominacji.

Dobrze się więc stało, że Kuria Biskupia Diecezji Łódzkiej zapoczątkowała serię spotkań z ludźmi pióra, kształtującymi opinię publiczną. Ta pierwsza konferencja prasowa, zorganizowana w sali teatralnej Wyższego Seminarium Duchownego z inicjatywy wikariusza generalnego Diecezji Łódzkiej ks. bpa Adama Łepy, miała nie tylko zapoznać z charakterem.

Z całym zatroskaniem i powagą Kościół przedstawił na niej swój znany pogląd na temat potrzeby ochrony życia poczętego, ale także udokumentował inne zagrożenia współczesności, wynikające z pogwałcenia nakazów ekologicznych, co sprawia, że województwo łódzkie charakteryzuje się najwyższym w kraju współczynnikiem umieralności ogólnej. Nie może więc dziwić, że temu ważnemu spotkaniu patronowała alarmistyczne hasło „Rodzina łódzka w zagrożeniu”.

Szczególnie znamienny był tu głos uczestniczących w konferencji katolików świeckich. Dr Jacek Danowski, lekarz wo-

jewódzki, naszkicował w swej wypowiedzi przynębiający obraz sytuacji demograficznej województwa łódzkiego. Okazuje się, że co najmniej od czterech lat systematycznie maleje liczba jego mieszkańców, zaś w samej Łodzi obserwuje się ujemny przyrost naturalny. Tylko w roku 1989 nastąpił ubytek 2930 osób.

W województwie łódzkim rejestruje się wyższy od przeciętnego w kraju wskaźnik zgonów, niższy wskaźnik urodzeń żywych i najwyższy współczynnik umieralności niemowląt. „Większość, bo ponad połowa zgonów niemowląt, spowodowana była stanami chorobowymi noworodków w okresie okołoporodowym – stwierdza dr Danowski. – Największa liczba dzieci umiera do 6 dnia życia. Zmalała liczba zgonów spowodowanych chorobami zakaźnymi i inwazjami pasożytniczymi, natomiast wzrosła liczba dzieci rodzących się z wadami (zwłaszcza wadą serca), uniemożliwiającymi przeżycie.”

Dane te mówią same za siebie i właściwie nie wymagają komentarza. Powróciliśmy do Europy, ale zajmujemy w niej miejsce w piwnicznej izbie, pełnej niezdrowych wyzwołów, co odbija się na naszym zdrowiu i społecznej kondycji. Przypatrzmy, dla pełni obrazu, jeszcze inne dane z raportu dra Danowskiego. Łódź zajmuje pierwsze miejsce w kraju pod względem procentu zatrudnionych w przemyśle kobiet, ale na tej samej skali zajmuje najbardziej niekorzystne miejsce pod względem współczynnika płodności kobiet (52,4 wobec krajowego 74,1), wskaźnika dzietności (1,7 wobec krajowego 2,4). Łódź jest także rekordzistką pod względem rozwodów (28 na 1000 małżeństw, kraj około 13 na 1000). Łódź produkuje także pod względem umieralności z powodu chorób

układu krążenia, nowotworów złośliwych i chorób układu trawiennego. To nam przypadł także wątpliwy zaszczyt pierwszeństwa umieralności kobiet z powodu urazów i zatruc. Los nie szczędił tu także mężczyzn: województwo łódzkie charakteryzuje się również nadumieralnością mężczyzn w wieku produkcyjnym. Pogarsza się także sytuacja zdrowotna dzieci i młodzieży. W liceach ogólnokształcących stwierdzono schorzenia aż u 40% uczniów.

Podobne dane do niedawna zatajano przed prasą, obowiązywał bowiem urzędowy optymizm. Nie widzę nic niewłaściwego, że poznamy je na konferencji zorganizowanej z inicjatywą Kościoła, choć zastanawiam się, co robi Rada Miejska, która zapewne także zapoznała się z tymi wskaźnikami. Tematyka wielu sesji zdaje się wskazywać na to, że nasi radni przeszli nad nimi do porządku dziennego.

Na konferencji tej znamienny był także głos mecenasa Marii Sawickiej, twórczyni telefonu zaufania dla kobiet z tzw. „problemową ciążą”. Chodzi tu o kobiety porzucone przez partnera, które decydują się na macierzyństwo z wolnego albo przygodnego związku. Łódź jest jeszcze jedną rekordzistką: notujemy tu największą liczbę przypadków samotnych matek.

Macierzyństwo jest wielką wartością, trzeba jednak zrobić wszystko, aby było to macierzyństwo godne. Kościół, wypowiadający się w sposób tak zdecydowany za ochroną życia poczętego, nie ma niestety większego wpływu na uporządkowanie spraw, które sprawiają, że dziś rodzenie w Łodzi jest aktem odwagi; może co najwyżej interweniować w przypadkach skrajnych niosąc pomoc najbardziej potrzebującemu. Ważne jest jednak, abyśmy dosłyszeli jego ostrzegawczy głos. Zagrożona jest nie tylko rodzina, zagrożone jest także samo miasto.

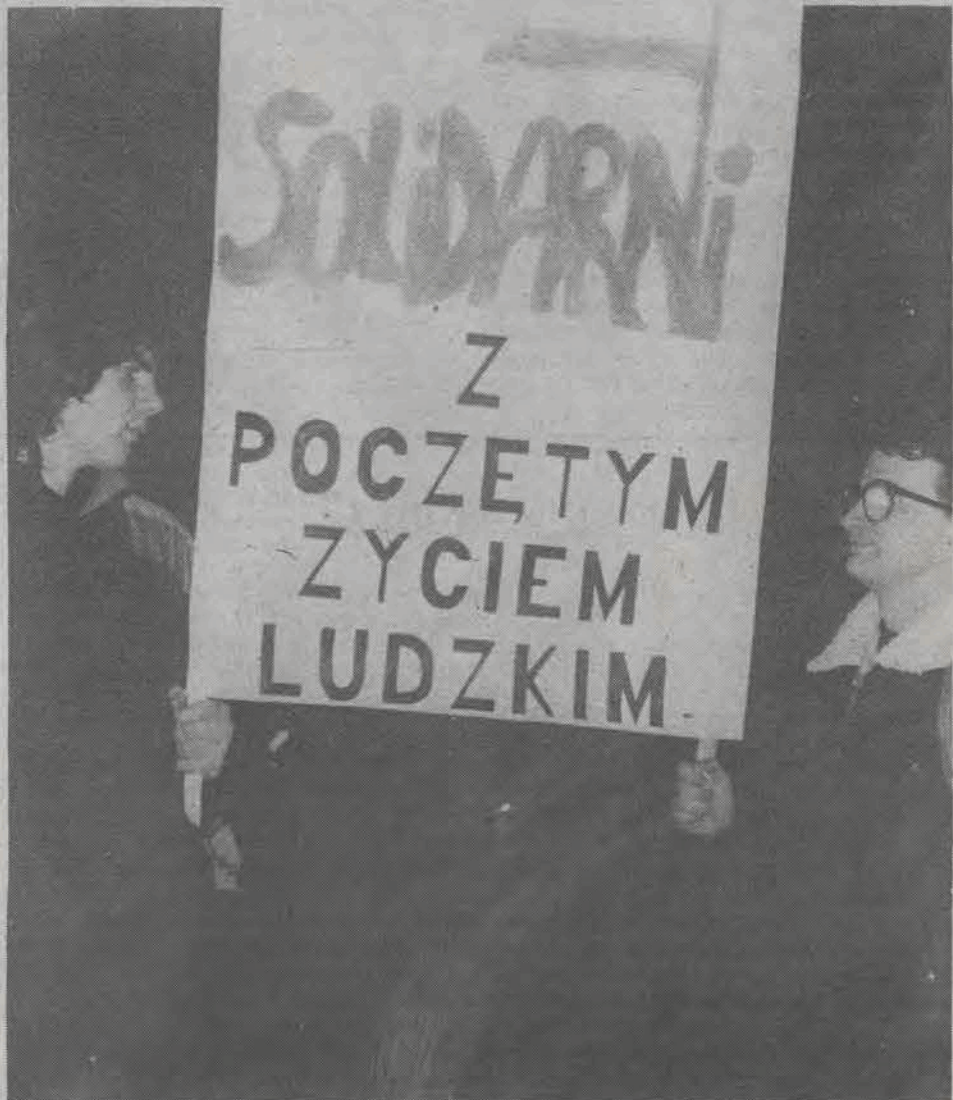


Foto: Grzegorz Michalowski

Polacy jeżdżą po to, aby zarobić, a jeśli nawet zdarzy się wyjazd turystyczny to przynajmniej „musi się zwrócić”. Poza tymi, co trudnią się drobnym lub większym handelem albo pracą na czarno, jest też prawdziwa „arystokracja” wśród rodaków dorabiających się za granicą – pracownicy wyjeżdżający na kontrakt.

Polak wyjeżdżający na kontrakt pragnie wrócić do kraju z jak największą gotówką. Oszczędza więc na czym się da. Przede wszystkim zabiera z kraju żywność: konserwy, smalec, makaron, zupy w proszku itp. Poza tym już po krótkim czasie pobytu wie, co gdzie kupić najtaniej. Żadne względy nie są w stanie zapanować nad chorobliwą oszczędnością rodaków przebywających na kontrakcie. Oto słynny z religijności i „gotów umrzeć” za wiarę Polak, za granicą nie da za swą wiarę nawet feniga. Aby więcej zarobić, czy nawet nadrobić czas, wszyscy gotowi są pracować również w katolickie święta kościelne. Polacy zadziwiają nie tylko swoją pracowitością, ale także tym, że w oficjalnej deklaracji składanej przy zatrudnieniu niemal wszyscy określają się jako niewierzący.

Niemcy dziwią się, jak to możliwe, że z kraju, w którym podobno 90% to katolicy i z którego pochodzi papież, przyjeżdżają sami ateści! Tajemnicę tę wyjaśnić nietrudno: otóż deklarację o wyznaniu np. w byłym RFN wypełnia się ze względu na podatki, które każdy zatrudniony musi płacić na swój kościół. I znów można trochę zaoszczędzić, a Panu Bogu przecież nie ubędzie.

Szaleństwo oszczędzania jest zaraźliwe. Umysł nastawiony jest stale na dokonywanie operacji, których celem jest jedno: kupić jak najtaniej. Już po krótkim pobycie na kontrakcie w umyśle każdego Polaka musi pojawić się nowy element – nazwijmy go „mnożnikiem”. Dla każdego kraju jest on inny, np. w Niemczech wynosi on w zaokrągleniu 6000.

Mnoży się stale – po raz pierwszy tuż po otrzymaniu propozycji wyjazdu na saksy – każdą sumę pieniędzy pozyskanych lub wydanych. Niektórzy czynią to nawet we śnie, a co zdolniejsi dochodzą do takiej wprawy, że w każdej chwili mogą podać współczynnik odpłacalności zakupu dowolnego towaru, nawet zupełnie nieprzydatnego np. kijka golfowego lub kapelusza tyrolskiego. Mnożnik niczym wirus opanowuje mózg i nie pozwala na żadne odstępstwa od „ekonomicznego myślenia”.

Każdy staje się specjalistą od handlu zagranicznego i już po krótkim czasie doskonale orientuje się w tym, które towary opłacałoby się sprowadzać do kraju, a które nie. Ta wiedza przydaje się np. do znęcania się nad bliźnimi: „Po co to kupiłeś, przecież w kraju to wypada taniej”. Swoistą torturą jest także mnożenie ceny każdej zjedzonej bułki lub kawałka chleba przez owe magiczne 6000 – wszak każda wydana marka, to po powrocie 6 tys. złotych. I jak tu jeść spokojnie nie wiedząc, że przejeżdża się tyle pieniędzy! A tymczasem zapasy zabrane z domu zaczynają się wyczerpywać, trzeba poza tym kupować pieczywo i inne artykuły, szybko tracące świeżość. Niektórzy więc postanawiają zmniejszać sobie drastycznie racje żywnościowe.

Znany jest przypadek dwóch Polaków, którzy wpadli na pomysł, by przespać cały czas wolny, bo jak wiadomo, gdy człowiek śpi, to nie je, a poza tym wydatkuje mniej energii, co zmniejsza zapotrzebowanie na kalorie. Głodzili się tak zawzięcie, że w ich pustych żołądkach przelewała się jedynie herbata, aż w końcu jeden z nich zasnął podczas pracy przy maszynach i uległ wypadkowi. Nie trzeba chyba dodawać, że mnożnik wynaturza ludzi – nikt nie podzielił się z bliźnim kromką chleba, ma ona przecież swoją wartość, którą mnoży się przez 6000.

Wilcze prawa obowiązujące wśród polskich gastarbeiterów sprawiają, że nikt nikomu nie ufa. Można bowiem być w każdej chwili okradzionym przez współmieszkańca w hotelu robotniczym. Dlatego opuszczając hotel nawet na kilka dni, np. w czasie urlopu, trzeba dobrze zabezpieczyć swoje rzeczy przed „kolegami”.

Magia „mnożnika” sprawia, że Polacy robią dziwne interesy, gdyż nie mogą nie ulec pokusie szybkiego wzbogacenia się. Krótko przed reformą walutową w NRD, niektórzy rodacy przywołali tam marki kupowane w kraju, aby wpłacać na książeczki oszczędnościowe. W ten sposób zarobili po 100 tysięcy DM, co po zastosowaniu cudownego „mnożnika” daje niebagatelną sumę 600 milionów złotych. Dla porównania – kurs dawnej marki wynosił w NBP 1130 zł.

Może też zdarzyć się „fuks”, jak wtedy, gdy w wyniku bałaganu podczas wymiany walut pewnemu Polakowi wypłacono pomyłkowo dwukrotnie 5300 DM. Oczywiście więcej się już w miejscu pracy nie pokazał. Miał z czego żyć – po przemnożeniu zyskanych „nadprogramowo” 5300 DM przez 6000 uzyskał 31 mln. 800 tys. zł czyli trzyletni zarobek w kraju. Zdarzały się również w bankach przypadki podwójnej wypłaty oszczędności. Tak to dzięki stosowaniu „mno-

nika”, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z przeciętnego obywatela zrujnowanego kryzysem kraju, można stać się milionerem. I jak tu nie wierzyć w cuda! „Mnożnik” może być też, niestety, okrutny. Wyobraźmy sobie, że ktoś kupił drogi przedmiot, np. aparat fotograficzny za 250 DM i ten przedmiot uległ zniszczeniu lub zaginął. Nieszcześnie były właściciel nie zazna spokoju przez długi czas! Przed jego oczyma będzie się stale przesuwiał rząd liczb.

Zarobki Polaków na saksach są wprawdzie wyższe od krajowych, nie na tyle jednak, by można było zaopatrzyć się w wymarzony „sprzęt” elektroniczny. Dodatkową barierą stanowi wysokie cło. Można więc tylko – podobnie jak to robią żołnierze radzieccy – godzinami wpatrywać się w aparaturę do płyt kompaktowych, wieże stereofoniczne, czy choćby najnowocześniejsze telewizory i magnetowidy Philipsa, Grundiga, Sony, wystawione w niemieckich sklepach.

Oddalenie od rodziny powoduje, że nabiera ona zgola innej wartości w oczach Polaka na

bawnie. Jan St. Bystron w dziele „Megalomania narodowa” przytacza opowieść o Niemcu, który wszedł do kościoła po mszy i słysząc jak wierni śpiewają suplikację: „od powietrza, głodu, ognia wybaw nas Panie!”, wtóruje im: „Ot półfiępsza, głofa, nogi i ogon, pif paf nas Panie!” Okazuje się jednak, że sami nie jesteśmy lepsi, czego na ogół sobie nie uświadamiamy.

Polakom wydaje się, że znają wszystkie języki świata, natomiast ich języka nikt nie rozumie. Wyrażają więc bez skrępowania swoje myśli, nie zawsze nadające się do głośniego wypowiedziania.

Bywa to przyczyną przykrych wpadek. Zdarza się bowiem niejednokrotnie, że zagraniczny celnik, kasjerka w domu towarowym lub dziewczyna obsługująca centralę telefoniczną nagle odpowiadają całkiem poprawną polszczyzną. Ale wtedy jest już za późno na wstyd z powodu tego, co się pochopnie powiedziało. W związku ze sprawą języków obcych ujawnia się charakterystyczna cecha Polaków: wygórowane mniemanie o sobie przy braku jakichkolwiek starań

Niechęć przed Polakami jest zwykłą samoobroną

Barbarzyńcy w Europie?

JOANNA SŁAWIŃSKA

saksach. Najbardziej znudzony swoją żoną mąż rozglądający się w kraju za „czymś nowym”, zaczyna ją wynosić pod niebiosa. Jak to tłumaczyć? Okazuje się, że dłuższy brak żony odczuwany jest bardzo boleśnie, zwłaszcza że „podryw” może się bardzo przykro skończyć dla przybysza nie znającego miejscowych „układów” i niepisanych praw w zakresie stosunków męsko – damskich.

Przekonali się o tym nasi rodacy, którzy utracili zęby w bóje z „najlepszymi przyjaciółmi” tj. żołnierzami radzieckimi, na których „teren” weszli.

Ale ci, co mają odpowiednie podejście do kobiet samotnych i zawiedzionych, mogą wiele zyskać.

Ciepłe łóżko, dobre jedzenie, zaproszenie na plażę dla nudystów, to profity, z jakich korzystają „specjaliści od podrywów”. Choć niejeden im zazdrości, ich los nie jest jednak wcale taki łatwy i słodki jak mogłoby się zdawać. Muszą bowiem wiele się starać, aby druga strona była w pełni zadowolona. W przeciwnym razie można się pożegnać z wizytami u uroczej rozwódki, wdówki lub innej samotnej kobiety.

Tak jak wszyscy Polacy są lekarzami i ekonomistami, tak też nie brakuje wśród nas (rzekomych) poliglotów, co to gotowi są rozmawiać wszystkimi językami – ale niestety wszystkimi jednocześnie.

Angielski myli im się z niemieckim, polski z rosyjskim itd. Wszyscy oczywiście są przekonani, że mogą bez trudu mówić po czesku i słowacku. I znów można tu przypominąć ulubione dowcipy Polaków o tym, jak to inne nacje, zwłaszcza Niemcy kaleczą naszą mowę, wcale zresztą za-

i pracy, aby wykazać się rzeczywistą znajomością rzeczy. Przekonanie o własnych umiejętnościach językowych jest tak potężne, że mało kto rzeczywiście uczy się języka kraju, w którym przebywa nawet kilka lat. Z reguły wraca się do domu po długim pobycie np. wśród Niemców, z taką samą znajomością języka, o niekwestionowanej przecież przydatności, jaką się dysponowało w chwili rozpoczęcia kontraktu tj. żadną. Dlatego zawsze nieodzowni są tłumacze.

Jest takie słowo, używane zresztą powszechnie w kraju, po którym rozpoznają się Polacy wszędzie, obojętnie czy pracujący na saksach gdzieś w Niemczech, handlujący w Berlinie, czy też koczujący w pobliżu dworca Keleti w Budapeszcie.

Nietrudno chyba domyślić się, co to za słowo. Może ono być oczywiście uzupełniane równie kwiecistymi wyrażeniami z bogatego słownika naszej „lacy”, ale żadne inne nie dorównuje mu, jeśli chodzi o uniwersalność w wyrażaniu najróżniejszych treści. I tak zamiast niemieckiego mruknienia „morgen”, czy węgierskiego spokojnego „jonapot”, Polacy wykrzykują rano do wszystkich wokół: „O, kurwa!”. Tubylcy nie bardzo wiedzą, co to słowo znaczy (forma powitania?), ale rodacy po usłyszeniu tego zawołania oddychają z ulgą. „No, jeszcze jesteśmy wśród swoich”. Zamiast trudnych i wymagających zastosowania form grzecznościowych wystarczy wszędzie używać tego słowa. Jakże ułatwia to rozmowę, i to z każdym. Można za pomocą tego „wytrycha” wyrazić swoje zdenerwowanie, pretensję o coś czy dobry humor. Jest to słowo hasło, znak, po którym rozpoznaje się naszych rodaków w całym świecie.

Zdarzają się przy tym przykre przypadki, jak podczas przyjęcia, które miało być sympatycznym przygotowaniem umowy handlowej zawartej przez stronę polską z pewną firmą japoń-

ską. Uśmiechnięty uprzejmie Japończyk w najlepszej wierze rozpoczął przemówienie do polskich gości słowem „O, kurwa!”. Łatwo można sobie wyobrazić konfuzję zgromadzonych gości, jaka nastąpiła po tym powitaniu.

Ruchliwość naszych rodaków jest ogromna – trudno wymienić kraje, których nie odwiedzają. Owo swojsko brzmiące słowo wszędzie kojarzy się z Polakami – do tego stopnia, że polskie statki zawijające do portów w Afryce Północnej witane są tym zawołaniem.

Polacy lubią się popisywać wulgarnością języka i niewybrednymi zaczepkami. Oto na Aleksander Platz w Berlinie dwóch naszych pijanych rodaków obrzucało spokojnych przechodniów wyzwiskami: „Wy Hitlerzy? Wy Gebelsy! Ja was k... zap...”. Młode dziewczyny, zajęte rozmową zostały wypatrzone przez jednego z tych pijaków, który podbiegł do nich... i wymierzył im po kopniaku.

Rodacy lubią być głośni i widziani (zwłaszcza, gdy wypiją), wedle zasady: jeśli Polak się bawi, nikt w okolicy nie ma prawa spać spokojnie. Kie-

rownicy kontraktu, a także przewodnicy wycieczek i obozów studenckich mają z tym wiele kłopotów, gdyż próby o spokój i ciszę w nocy ze strony okolicznych mieszkańców (jak to np. było w niemieckim ośrodku wczasowym, w którym bawili nasi studenci), zazwyczaj nie skutkują. Bywa więc, że jedynym ratunkiem pozostaje interwencja policji.

Administratorka w hotelu robotniczym w Niemczech stwierdza, że Polacy mieszkają „brudno jak świnie”. Fatalną opinię mają Polki, które prowadzą wesoły tryb życia, zmieniając partnerów z taką częstotliwością, iż zamieszkałe przez nie hotele np. w Egipcie nazywane są „burdelami”. Nasi rodacy są też znani ze skłonności do „zabierania sobie” ze sklepów tego, co leży nie zabezpieczone, wrzucania polskich monet do automatów itp. Żądza pieniądza skłania polskich gastarbeiterów do tego, iż godzą się na najgorsze warunki zatrudnienia „na czarno” i gotowi są wtedy mieszkać nawet we własnych samochodach z braku innego lokum. Tak się dzieje np. podczas winobrania we Francji, gdzie są znienawidzeni przez konkurencję za obniżanie stawek – godzą się bowiem na takie zarobki, jakich nikt inny by nie przyjął.

Można więc powiedzieć, że sami przyznajemy sobie pozycję pariasów, jaką mamy obecnie w Europie. A jednocześnie – jakże my lubimy „imponować”! Widać to na przykład w pociągach, którymi Polacy jadą do kraju na tzw. rozłąkę lub wracają z rozłąki do pracy. Taki pociąg aż paruje od alkoholu. Jest też bardzo „wesoły”.

Węgry nazwali te pociągi „czarnymi”. Żaden konduktor nie chce obsługiwać wagonów w takim pociągu. Zabawa zaczyna się już na peronie od rzucania garściami nawet przez okno na ludzi oraz wyrzucania „obcych” z przedziałów. Polacy muszą być panami sytuacji. Jeszcze na stojąco odbija się butelki mongolskiej wódki, bez żadnego skrępowania wobec cudzoziemców. Troje starszych Słowaków skulonych ze strachu w kącie, skwitowało taką akcję krótkim stwierdzeniem „Z bohom rozum”, czyli „Żegnaj rozumie”.

Polacy jeżdżą do innych krajów po to, by się dorobić. Przy okazji jednak reprezentują Polskę w świecie. Warto byłoby się więc zastanowić, jaką opinię o naszym społeczeństwie wyrabiają ci „wybitni fachowcy”, starannie rzekomo dobierani przez odpowiednie komórki naboru. Do częstych należy przypadek, że karnie, przeważnie za pijaństwo i naganne zachowanie, odesłany do kraju pracownik, wkrótce zostaje skierowany na kolejny kontrakt. I następny kierownik kontraktu ma zmartwienie, co z takim zrobić. W jednym z zakładów ówczesnej NRD w ciągu kilku miesięcy, spośród 170 pracowników trzeba było odesłać do kraju aż 120.

Pragniemy, by Europa się przed nami otworzyła i dziwimy się, dlaczego napotykamy na opory. „My, taki sympatyczny, dzielny naród, który pierwszy powalił komunizm, mielibyśmy być nieproszonym gościem w Europie?” – oto, co myśli wielu z nas. A jednak taka jest prawda. Nie chcą nas i nie ma się czemu dziwić. Nikt nie zaprasza chętnie gości, który nie umie się zachować, nie respektuje miejscowych zwyczajów, lecz chce narzucić swoje.

Niechęć otwierania przed Polakami granic jest zwykłą samoobroną przed zalewem barbarzyństwa. I będzie trwała dalej, jeśli bez trudu wyjeżdżać będą z naszego kraju ludzie nie przestrzegający podstawowych zasad kultury współżycia.



Szkolny striptiz

KRZYSZTOF ZAJĄC



Foto: Grzegorz Michałowski

Sunghoi jest szokująca. Pojawia się na scenie w szkolnym fartuszu, z przypiętą tarczą wzorowego ucznia. Bierze skakankę i zaczyna się bawić jak radosna nastolatka. Zgrabna dziewczynka wdzięcznie poruszająca się w rytm muzyki. Nawet, gdy leży na podłodze i wysoko unosi nogi pokazując, co ma pod krótką spódniczką, nikt nie domyśla się dalszego ciągu.

Sunghoi zaczyna się rozbierać. Zrzuca granatowy fartuszek. Na podłogę leci biała bluzeczka i skórzana spódniczka... Nie, na tym występ się nie kończy, choć debiutującej striptizerce jak na razie nie starcza odwagi, by ściągnąć majtki. Na premierze numer kończy w stroju topless. Dzień wcześniej, na próbie, oszołomiona błyskami fleszy zaproszonych fotoreporterów, pozostaje w bieliźnie. „Magia sceny spowodowała, że dostałam tremy” – tłumaczy i obiecuje, że w przyszłości nie zawiedzie.

Sunghoi – to rzecz jasna „pseudonim artystyczny”. A imię? – tego reporterowi dziewczyna nie chce ujawnić. Chętnie jednak zgadza się na rozmowę.

Jest uczennicą drugiej klasy liceum i chyba najmłodszą uczestniczką widowiska „Welcome to Chalupy”. Twierdzi, że ma skończone 16 lat i choć jest bardzo młoda, jej mama bez zastrzeżeń zgodziła się na publiczne rozbieranie. Nie jest naturystką. Nie pragnie też zostać zawodową tancerką – na naukę tego zawodu jest już za stara – jak twierdzi. Dlatego pragnie jeździć po kraju i rozbierać się za pieniądze.

Nie widzi nic złego w nagości i jej publicznym prezentowaniu, a choć dokładnie nie wie ile zarobi, to przewiduje, że będzie to za jeden występ równowartość kilku dni ciężkiej pracy w fabryce. W fabryce Sunghoi pracować nie chce.

Jeżeli przez dwie godziny może zarobić i dwieście tysięcy, a przy okazji objechać kraj, trafić może i za granicę, to po co szukać czegoś lepszego? A ona lubi podróżować. Dlatego nie przeszkadza dziewczynie, że w objazd pojedzie bez chłopaka, który uczy się w szkole dziennej. Sunghoi chodzi do wieczorówki i łatwiej jej tak ustawić zajęcia, by mogła równocześnie wędrować po kraju.

Na scenę, do widowiska, trafiła przypadkiem. Skusiło ją ogłoszenie o naborze tancerek. Spośród setki kandydatek część zrezygnowała sama, gdy dowiedziała się, że trzeba się rozebrać. Z pozostałych organizatorzy wybrali dziewczyny do zespołu tanecznego i jedną do striptizu.

Tancerki topless są starsze od Sunghoi. Niektóre nie mają wprawdzie jeszcze dowodu osobistego, ale są też takie, które przyznają się aż do dwudziestu lat. Są więc dorosłe i bardziej świadome. Na scenie poruszają się z dużą ekspresją, zaangażowaniem próbując nadrobić niewielkie umiejętności. Jako tancerki cenią się nieco wyżej niż striptizerki, choć na scenie pokazują prawie wszystko.

Rzemiki na ramionach i szyi. Wąziutki pasek mocno wciśnięty

między pośladkami musi uwierać i przeszkadzać. Dziewczyny tańczą nierówno, chwilami gubią rytm. Ładne, o młodziutkich buziach, wierzą, że ich ciało jest tylko elementem scenografii. Protestują przeciwko zarzutowi, że ich nagość ma wywołać u widza niekoniecznie estetyczne wzruszenia. Choć bez oporów pozują fotoreporterowi, nie chcą, aby filmowała je telewizja i aby na ekranach rozpoznano ich twarze. Niechętnie też rozmawiają z reporterem.

Oczywiście, nazwisk i imion nie podadzą, choć wykonują taniec artystyczny. Nie chcą publicznej reklamy. Powiedziały też znajomym i przyjaciołom o rodzaju tańca, jaki wykonują, by uprzedzić złośliwe plotki. O ich pracy wiedzą też rodzice. Poważniejsze, a może bardziej ostrożne niż koleżanka striptizerka, nie mówią o planach zawodowych i nadziejach, jakie wiążą z występem. Jest wśród nich uczennica szkoły baletowej i dla niej jest to zawód. Pozostałe scenę traktują jak przygodę, jak jeszcze jedno doświadczenie. Gdy przygoda się skończy, każda wróci do swoich spraw: pójdzie na studia, do pracy, wróci do szkoły.

Żadna nie jest naturystką ani nie ma przygotowania zawodowego do tańca. Podpierają się doświadczeniami z zespołów amatorskich, klubów. Myślą, że to wystarczy. Do rozbierania nie skusił je szelest banknotów. Za występ dostają mniej niż striptizerka. Zdecydowanie więc bronią artystycznego charakteru swojego występu i widowiska. Bronią też prawa do życia bez pruderii. W nagości nie musi być nic wstydliwego i gorszego – przekonują – a jeżeli ktoś traktuje ich występ w kategoriach erotycznej ekscytacji... Przecież na plaży naturystycznej też trafiają się zboczeńcy. Czy to przekreśla czystość idei?

Cezary Stanisław Mończyk, który twierdzi, że jest pomysłodawcą widowiska, zdecydowanie zaprzecza plotkom, że dziewczyny z widowiska są niepełnoletnie. Nawet Sunghoi skończyła osiemnaście lat. A plotkę, że striptizerka ma 16 lat puścił sam, każąc dziewczynie tak odpowiadać wszystkim zainteresowanym jej dziecinną buzią. Dlaczego? Nie zdążył wyjaśnić, gdyż musiał biec załatwiać pilne sprawy.

Nikt, z wyjątkiem prokuratora, nie dowie się jaka była koncepcja widowiska od jego reżysera: Michaela Chrystiana Wiśniewskiego. Pan ten tuż przed premierą został zatrzymany, choć trzeba przyznać, że nie miało to związku z tym widowiskiem. W tej sytuacji rolę reżysera, scenarzysty i producenta pełni jednoosobowo Józef Kubicki, prezes Stowarzyszenia Naturystów Polskich. Dzień przed premierą trudno z nim o cokolwiek rozmawiać. Zdenerwowany, co chwila pojawia się i znika próbując latać rozsypane się widowisko.

Widząc, co dzieje się na scenie krzyczy, że wycofa swoje nazwisko z afisza. Nie dość, że zamiast planowanych dwóch przedstawień jest tylko jedno, że bilety nie idą, to na scenie wszystko się rozlaży. Panienska w stroju wschodniej tancerki krzyczy, że jest

★★ PISMO MNIEJSZOŚCI SEKSUALNYCH ★★

INACZEJ

NR 1

CZERWIEC 1990

CENA 5000 ZŁ



...uważam się za lepszego, bo mogę kochać inaczej...

(cytat z listu do red.)

Od Topless do Playboya

Różowa prasa

ZBIGNIEW KRZYSZTOFIK

Kioski są pełne tych tytułów. Nago, Naturyzm, Sex-TOP, FOTO-SEX, Seks/Rety... to tylko niektóre z pism dominujących na ładach. Ich okładki kuszą kolorowymi zdjęciami erotycznie upozowanych pań. Tytuły artykułów znajdujących się w środku zapowiadają silne wzruszenie: „Panny pod łóżko”, „Tajemnica małżeńskiej alkowy”, „Dziewczyny z Placu Pigalle”, „Gwałciciele”, „Sprzedawałam fallusy”. We wszystkich pismach periodycznych lub wydawanych tylko okazjonalnie schemat jest prosty: im gorszy papier, im mniej atrakcyjne zdjęcia i gorszy zespół autorów, tym bardziej szokujące tytuły, a treść artykułów pełna dosadnych szczegółów.

Weźmy na przykład Seks/Rety – pismo rozrywkowe wydawane przez Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Usługowe „Bałtyk”. Stopka nie ujawnia nazwiska redaktora naczelnego ani składu zespołu. Papier jest niskiej jakości, a zdjęcia fatalne. Te niedostatki nagrodzić mają czytelnikowi teksty, których początek, całkiem jednoznaczny, nie odbiega od całości. „Zawsze uwielbiałam francuską miłość, ale z Andrzejem było tak, że słowami trudno opisać” – to reportaż (?) o tajemnicach małżeńskiej alkowy. Tekst: „Egzamin maturalny” zaczyna się równie jednoznacznie: „W spodniach miałem ogrom rozpalonego wariactwa”. Nie mniej jasne są pozostałe teksty: „Czy pijany młodzieniec może cztery razy w ciągu pół godziny?”, „Nimfomanka”, „Wampir”... a że pra-

sa musi być pluralistyczna, jest także jeden tekst dla osób o odmiennych orientacjach seksualnych: „Jestem chwałostem z sercem róży” – sentymentalny, infantylny reportaż o homoseksualistach.

Na podobnym poziomie jest „Sex-odrama” wydawana przez Stowarzyszenie Popularyzacji Prasy w Bydgoszczy czy „Topless” wydawane przez Zakład Usługowo-Handlowy „Wieżba”. Wszystkie je razem zakwalifikować można jako prasę pisuarowo-toaletową.

Do tej samej grupy zaliczyć można, mimo lepszego papieru i zdjęć, pismo „Sex-TOP” wydawane przez specjalistę od seksu i porno: Andrzeja Rodana. Wydał on bulwersujące, choć doskonale sprzedające się „Okolice porno-shopu” i inne dzieła o podobnej tematyce, od której najwyraźniej odejść nie chce. Wydawany przez niego miesięcznik prezentuje wprawdzie teksty i zdjęcia z przedruków, które pornografią nie są na pewno, natomiast wiodącym tekstem jest fragment któregoś ze słynnych książek napisanych przez samego wydawcę.

Rodan jest bardzo ofensywny. Wydaje książki, założył pismo erotyczne, zamierza także wydawać pismo dla łódzkich homoseksualistów pt „Irys”. Uruchamia też agencję: Centrum Sprzedaży Wysyłkowej „Rodan Rodan” trudniącą się dostarczaniem pocztą artykułów znajdujących się nie tylko w łódzkich seks-shopach. To ciągle nie jest jednak porno-

grafia, przynajmniej zgodnie z definicją seksuologa Zbigniewa Lwa-Starowicza, który uważa, że dopiero jeżeli obzars genitaliów wypelni trzy czwarte obrazu, warunek ten będzie spełniony. Jednak powszechność dostępu do tej prasy powoduje, że dopisek: tylko dla dorosłych, jest niezbędny. Powinno się jednak dodać: dla prymitywnych dorosłych.

Nie muszą się wstydydzić ani zdjęć, ani tekstów tylko nieliczne pisma. Wprawdzie i w nich autorzy wyznają ciągłe tę samą „filozofię”, na którą składają się silni mężczyźni, piękne kobiety i szybkie samochody, jednak sprzedawana jest ona czytelnikom ze smakiem i niezłym gustem. Takim pismem jest FOTO-SEX – miesięcznik Agencji Inter-Foto-Press redagowany przez Wiesława Sumińskiego, w którym pisze się o seksie bez zadęcia lub infantylizmu, traktując sprawę bez nadmiernej ekscytacji. Dlatego jeżeli jest mowa o seks-shopie, to przy okazji stwierdzenia, że 30 % pacjentów poradni seksuologicznych musi korzystać z tej formy pomocy; jeżeli mowa jest o miłości, to choćby ustami Krystyny Sienkiewicz. A opublikowana seks-ankieta podaje wprawdzie, że 72% kobiet i mężczyzn uprawia seks oralny, podobna ilość czasem się masturbuje, ale równocześnie stwierdza, że najwięcej szczęścia daje ankietowanym: miłość, życie rodzinne, przyjaciele... i dopiero potem seks – ważny w życiu dorosłego człowie-

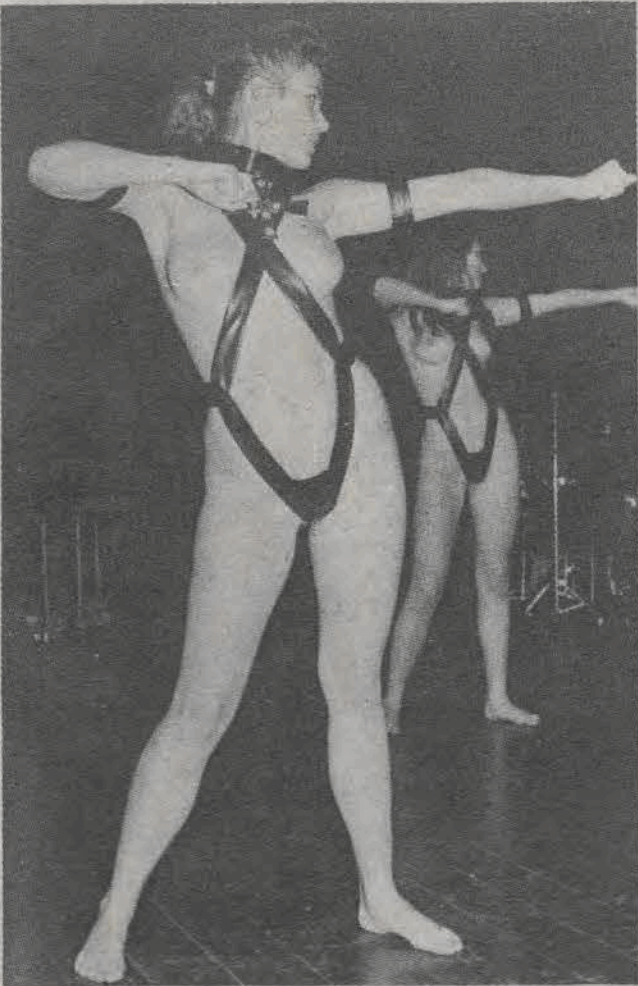


Foto: Grzegorz Michalowski

niedysponowana i wszyscy powinni wiedzieć, jak cierpi. Utytulowane naturystki niezbyt się starają, a nawet rekwizyty nie chcą się podporządkować dyspozycjom reżysera. Miss natura pojawia się coraz bardziej goła śpiewając infantylne teksty, a wicemiss pokazuje w pseudotańcu, co można

działać przy pomocy laski z białą gałką... Amatorzy, młode dziewczyny mogą nie wiedzieć, jaka jest różnica między naturą, kulturą i jej brakiem. Niewątpliwie, gdy Sunghoi ściągnie majtki, widowski się dookreśli. Będzie to pornografia dla podstarzałych erotomanów.

ka, ale przecież nie najważniejszy. Najlepszym polskim pisemem dostępnym na naszym rynku jest niewątpliwie „Playboy” firmowany przez uznane nazwiska najlepszych fachowców. Naczelnym jest znany ze „Szpilek” Witold Filler. Pisują w „Playboyu” Maria Czubaś, Jerzy Urban, Janusz Atlas, Janusz Oseka i inne gwiazdy naszej prasy. Choć i tu firma licząc na prymitywizm czytelników spragnionych wielkiej kariery namawia, by przysyłać własne, gołe zdjęcia: może zauważył was światowy show business, może i Hollywood. Ten apel wynika z niewielkiego rynku podaży oryginalnych, autentycznych zdjęć erotycznych, takich które nie przekraczają granicy podanej wcześniej przez słynnego seksuologa. Tych wszystkich problemów nie mają pisma wydawane poza granicami kraju, które rozprawdane są w większości kiosków. Tylko jedno z nich posiada polską wersję językową: „Cats” – skandynawski magazyn erotyczny. Jego adresatem jest czytelnik, dla którego seks stanowi istotę życia. Przykładem może być Joanna – bohaterka jednego z fotoreportażów, która eksponując się w sposób nazywany przez Starowicza pornograficznym, opowiada, że seks jest dla niej największą wartością. Ta 21-letnia warszawianka, studentka uniwersytetu, nie wstydzi się pozować szeroko rozkraczona, siedząc na zlewozmywaku, dosiadając drążka zabytkowej studni na Starówce oraz w innych sytuacjach. Równie odważna jest Gigi ze Sztokholmu opowiadając szczegółowo jak przyżywa orgazm. W piśmie jest dział porad erotycznych, gdzie na przykład Yivy podpowiada co zrobić, gdy dziewczyna nie chce się „kochać po francusku”. Wydawcy zapraszają także czytelników do wysyłania

Jak fakir na gwoździach

Rozmowa z JERZYM ZELNIKIEM

— Gra pan obecnie w filmie „Szuler” reżyserowanym przez Adka Drabińskiego, na stałe przebywającego w Stanach Zjednoczonych. Producentami są Amerykanie i Hiszpan, ze strony polskiej produkcją zajmuje się firma prywatna, a więc jest to realizacja eksperymentalna, nowość na naszym rynku. Jakie są pańskie wrażenia w związku z pracą w tym filmie?

— Nie widzę zasadniczych różnic, ponieważ zawsze mam podobne podejście do pracy. W każdym filmie gram tak, jakby stał nade mną producent, któremu zależy na tym, aby wszystko szło sprawnie. To sprawa charakteru i nastawienia. Jeśli człowiek chce pracować intensywnie, nie tracić czasu i pieniędzy, to jest to zawsze i wszędzie możliwe. Myślę, że mimo ogromnych nacisków, w warunkach wymagających maksymalnej koncentracji i dużego wysiłku, cała ekipa realizująca film wywiązała się ze swoich zadań.

— Co sprawiło największe kłopoty na planie?

— Przed filmem najpoważniejszym problemem dla mnie było pokonanie strachu przed koniem. Miałem już dwa wypadki i bałem się, że nie podołam nawet w prostych jazdach, ale udało mi się psychicznie przełamać. Nie miałem w „Szulerze” poważniejszych scen z końmi, ale teraz już wiem, że gdybym musiał galopować na koniu – zrobiłbym to. Jest w filmie scena orgii, a właściwie bachanalii. Nagość jest zawsze trudną barierą do pokonania, tylko pod warunkiem, że jest ona całkowicie uzasadniona, opór przed sceną zmniejsza się. Gramy w tym filmie wyłącznie po angielsku – to dla mnie dodatkowe zadanie i bardzo potrzebny intensywny trening. Polski aktor musi uczyć się języków, sam talent nie wystarczy.

— Gra pan główną rolę hrabiego Moritza...

— To bardzo ciekawa postać, praca nad nią ogromnie mnie wciągnęła. Kim on jest dowiem się, jak zobaczę cały film. Na razie gram dużo intuicyjnie, odkrywam wiele spraw, które są we mnie. Bardzo ciekawym wątkiem jest przesłanie się dobra i zła w jednym człowieku, kwestia jak łatwo być skuszonym przez zło, bo jest atrakcyjne, nosi ładne kostiumy. Moja postać na początku daje się porwać temu złu, potem następuje odwrót, ale niecałkowity. Interesuje mnie problem jak dalece można ulegać urokowi innych ludzi. „Szuler” porusza odwieczne tematy: miłości, śmierci. Na szczęście nie umiem opowiedzieć tego filmu. Złożonego problemu nie da się zdefiniować jednym zdaniem.

— Jaki jest pański stosunek do nie zaplanowanych wydarzeń na planie filmowym?

— Bardzo lubię improwizację. Nigdy nie da się przewidzieć wszystkiego do końca. Czasem okazuje się, że to właśnie improwizacja i nieporządek są ciekawsze od zaplanowanego ładu. To wspaniałe uczucie, kiedy aktor jest pozbawiony samemu sobie i musi na bieżąco pisać scenariusz na zadany temat.

— Jak aktorowi z tak dużym doświadczeniem pracuje się z reżyserem debiutantem?

— Podobnie jak Konrad Swinarski i kilku innych reżyserów Adek Drabiński jest świetnie przygotowany, wie czego chce, ale nie narzuca tego, co sobie wymyślił przy biurku czy na łóżku, jest w nim dużo świeżości, otwarcia i elastyczności. Kupuje każdy dobry pomysł, ale i umie przekonać do swojej

wersji, jeśli ta jest lepsza. Niekiedy reżyserzy świetnie potrafią oszukać aktora, dać mu złudzenie, że to on sam coś wymyśla, jest współtwórcą filmu. Mężczyźni nie rodzą dzieci, więc może dlatego lubią być autorami pomysłów.

— W filmie występuje siedmiu aktorów z nowojorskich teatrów. Jak przebiega współpraca z Amerykanami?

— Pasjonuje mnie przebywanie i rozmowy z ludźmi, którzy są przedstawicielami innej kultury, próba zrozumienia, przeżycia na sobie samych ich mentalności. Amerykanie w grze reprezentują metodę Stanislawskiego, z której my w Polsce już trochę wyrosliśmy. Bierzymy się z niej, ale odchodzimy od dosłowności przeżywania: jak płakać to litrami, jak się zmęczyć to na pograniczu zawatu. Patrzę na nich z podziwem, ale mnie takie aktorstwo już nie bawi. Najlepiej pracuje mi się z moim partnerem Justinem Deasem. Jesteśmy do siebie bardzo podobni w poglądach, poczuciu humoru, nawet w sposobie myślenia. Na leżymy do tego samego pokolenia, obaj też jesteśmy katolikami.

— Jest pan czynnym uczestnikiem życia publicznego. Jak udaje się pogodzić scenę polityczną z planem filmowym?

— Rzeczywiście jestem bardzo zaangażowany politycznie, a ten film odcignął mnie od polityki i aktywnego w niej udziału, co jest jego wielkim sukcesem. W Warszawie absorbuje mnie tysiąc spraw, każdy dzień jest walką, na dodatek jestem świeżo po przejściach związanych z budową domu. Tu na planie mogę sku-

pić się na jednym. To teraz luksus i wspaniała higiena dla organizmu.

— Odnoszę wrażenie, że ta ciężka praca mimo wszystko jest dla pana odpoczynkiem.

— Mam 45 lat i już dojrzałem do tego, że dobry film jest dla mnie odpoczynkiem. Na planie „Szulera” czuję się prawie jak w sanatorium. Kiedy jestem skoncentrowany, każdy siniak mniej boli – mówię to oczywiście umownie, ale grając jakąś rolę czuję się jak fakir, który leży na gwoździach. Emocjonalne zaangażowanie powoduje, że nie czuję zmęczenia dniem. Będę wspominał ten film jako jeden z ważniejszych spośród pięćdziesięciu, które już nakręciłem. Będzie mi brakować „Szulera”. Lepiej zagrać średnio w dobrym filmie niż świetnie w kiepskim obrazie. Myślę, że jestem uczestnikami czegoś nieprzeciętnego. Wierzę, że z tego bardzo oszczędnościowego filmu, robionego w dużym napięciu finansowym i czasowym może powstać coś, co będzie kasowe, co będzie miało dobrą jakość. To duża szansa dla aktora.

— Podobno producent nosi się z zamiarem pokazania „Szulera” na festiwalu w Cannes poza konkursem. Jakie nadzieje wiąże pan z tym filmem?

— To podchwytliwe pytanie, ale jeśli mam być bardzo szczery, to powiem. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, zwłaszcza publicznie. Niech słucha producent! Wcześniej niż Olbrychski i wielu moich znakomitych kolegów miałem bardzo pojętne propozycje z Zachodu, które z różnych względów nie doszły do skut-

ku. Raz był to przewrót pulkowników w Grecji, potem nagle umarł Montgomery Clift tuż przed kręceniem „Bram raju” z Wajdą. Podpisałem umowę na trzy filmy amerykańskie i facet zbankrutował, troszkę nas oszukał. Z pięć razy byłem przed progiem. Chciałbym mieć jeszcze możliwość popracowania w przemyśle, który jest o wiele bardziej przebojowy, sprawdzenia się w amerykańskim żywiole filmowym. Po raz pierwszy tak serio myślę o kontynuacji. Mam wrażenie, że pokonałem barierę lęku przed utratą tożsamości, kiedy gra się w obcym języku. Chciałbym spotkać się na planie np. z Dustinem Hoffmanem, o czym marzyłem jako młody chłopak. Dla przygody. Jeśli ma się 45 lat i posmakowało się pewnych wartości z życia, to już nie ma takiego napięcia, żeby za wszelką cenę robić karierę. Mam rodzinę, dom, pewnie przyjemności i doznania intelektualne, które lubię i które dają mi radość, więc robienie kariery w Hollywood nie jest moją jedyną życiową szansą. Ale nie ukrywam, że jest w tej chwili we mnie takie marzenie jak nigdy przedtem, żeby jeszcze raz przemierzyć ocean. Stany Zjednoczone pasjonują mnie wyłącznie ze względów zawodowych. Chciałbym się zmierzyć z tamtymi wymaganiami, podnieść sobie poprzeczkę, żeby nawet się przewrócić, za cenę klęski, ale żeby odpowiedzieć na to wyzwanie.

— Dziękuję za rozmowę i życzę spełnienia marzeń.

Rozmawiała:
**MONIKA
MATUSZAK**



Pomysły leżą na ulicy

Rozmowa z MIROSŁAWEM KULISIEM, wydawcą „Agory”

Wielu ludzi utożsamia tygodnik AGORA z wydawcą „Gazety Wyborczej”, spółką Agora. Czy faktycznie jest między wami jakiś związek?

Nie ma żadnego. Przypadkowo łączy nas ta sama nazwa. Pierwotnie tygodnik miał nazywać się „Oko”. Tytuł ten nie został jednak przyjęty przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, gdyż wcześniej zgłosił go wydawca z Opolą, a jak wiadomo na rynku nie mogą funkcjonować pisma o jednakowo brzmiących tytułach. Natomiast tytuł Agora nie był zastrzeżony i przyznano nam go w lutym 1990 roku.

Skąd więc tyle szumu wokół tej nazwy?

Nieszczęściem dla tygodnika AGORA było to, że wydanie jego pierwszego numeru zbiegło się z odebraniem „Gazecie Wyborczej” znaczącej Solidarności i ujawnieniem przez Lecha Wałęsę, że jej wydawcą nie jest związek „Solidarność”, ale spółka z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Agora, co stało się pewną sensacją i zaczęli wielu nieporozumień. Spółka Agora stojąc na stanowisku prawnym, że nadużywamy jej nazwy zażądała od nas zmiany tytułu. Obecnie sprawa badana jest przez Główny Urząd Patentowy i mamy nadzieję, że wkrótce wyjaśni się, kto ma prawo do tej nazwy. Okazuje się, że na rynku działają aż cztery firmy o tej nazwie.

Mnóstwo kontrowersji wzbudza zasada na jakiej działa AGORA. Czy jest to zgodne z prawem?

Działamy w oparciu o obowiązujące prawo autorskie, które w artykule 18 wyraźnie zezwala na przedrukowywanie wypowiedzi dotyczących tematów politycznych, społecznych i kulturalnych. Prawo jest tutaj jasne, jednoznaczne i wprost określające, że nie wykorzystujemy – jak uważają niektórzy krytycy – żadnej luki prawnej. Najwięcej kontrowersji wzbudza jednak nie sam fakt przedruku artykułów prasowych, ale to, że do tej pory AGORA nie płaciła za wykorzystane teksty, co także jest zgodne z prawem autorskim. Ponieważ, będąc dziennikarzem, podzielałam w pewnym stopniu oburzenie środowiska tym faktem, postanowiłam, że począwszy od świątecznego wydania będziemy płacić za zamieszczone przedruki.

Czy skłoniła cię do tego obawa przed procesami, którymi grożą wam niektórzy dziennikarze?

Stanowczo nie. Po prostu sukces związany z AGORA chcę dzielić ze wszystkimi, którzy się do tego przyczyniają. Procesy, o których wspominałaś, to plotki, tak naprawdę nie groził nam żaden proces.

Czy w przyszłości ulegnie zmianie formuła AGORY?

AGORA ma już pewną pozycję na rynku prasowym. Wiem, że w środowisku dziennikarskim funkcjonuje jako pewna płaszczyzna nobilitacji. Ponieważ zamieszczamy zawsze najlepsze materiały z danej tematyki czy gatunku, przedrukowanie tekstu w AGORZE jest jakas miarą dziennikarskiego sukcesu. Formuła AGORY doskonale się sprawdziła i nie zamierzamy jej zmieniać. Chcemy jedynie zwiększyć jej nakład i objętość. Mamy natomiast nowe pomysły, z których narodzić się być może jakieś pismo, a może nawet kilka tytułów.

Czy będzie wśród nich gazeta codzienna?

Nowe pomysły zachowam w tajemnicy. Czas są takie, że sekret firmy jest rzeczą bardzo ważną, zwłaszcza jeśli chodzi o koncepcje. Klasykiem tego przykładem jest AGORA, przecież pomysł na to pismo leżał na ulicy i każdy się o niego potykał.

Natomiast wydawanie w dzisiejszych czasach gazety codziennej jest przedsięwzięciem wręcz karkołomnym. Ponadto szalenie trudno jest powtórzyć sukces „Gazety Wyborczej”, czego przykładem są „Wiadomości Dnia”, które mimo że startują z podobnej pozycji politycznej, muszą walczyć o czytelnika.

A co z innymi planami, np. z teatrem Maska 89?

Z tym przedsięwzięciem noszę się już od kilku lat. W zamierzeniu ma to być teatr dla młodzieży w wieku 10 – 15 lat, ale nadal pracujemy nad jego koncepcją. W najbliższym czasie chciałbym także powołać w Łodzi filharmonię dla dzieci. Przedstawiłem już ofertę władzom miasta i jeśli uda mi się znaleźć sponsorów, być może rozpocznie ona swą działalność w lutym 1991 r.

A zakupiony helikopter to twój kaprys czy nowe przedsięwzięcie?

Otworzyliśmy przedsiębiorstwo lotnicze Air-taxi. Wszystkim chętnym już teraz oferujemy przelot w dowolny punkt kraju, a wkrótce również za granicę.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
BEATA KOSTRZEWSKA



Foto: Grzegorz Galasiński

Miłość przeniesiona na wiece, traci siłę oddziaływania

Kotan zbuntowany przeciw Kotańskiemu

KRZYSZTOF ZAJĄC

Kiedy Marek Kotański wchodził na drogę sławy uruchamiając pierwszy w Polsce ośrodek dla narkomanów w Garwolinie, Wacław Kotański, jego ojciec, najwybitniejszy w Polsce japonista, trwał w żmudnej, ciągnącej się dwadzieścia lat, pracy nad eposem z XVIII wieku. Kotan-przyszły wiecownik – śnił o tym, że kiedyś przerośnie uczonego ojca. Jego życie, filozofia będąca zaprzeczeniem tego co reprezentował ojciec do dziś zdaje się kształtować styl i sposób działania polskiego guru, który miłością chciał zbawić naród.

Wacław Kotański przez dwadzieścia lat czytywał się w dzieło niezrozumiałe nawet dla współczesnych Japończyków, choć wiedział, że „Kojiki”, które były przedmiotem tak skupionego i uważnego badania nie mają żadnego praktycznego zastosowania dla współczesnego Polaka. Nie z tą intencją nad nimi pracował. W wywiadzie prasowym tłumaczył: „nie podjąłbym się chyba dać konkretnej odpowiedzi na pytanie, co może stanowić walor dla polskiego społeczeństwa. Mam jednak nadzieję, że każdy z jego członków szuka dla siebie jakiejś wiedzy, poznania, wzorca. Może jest to po prostu szukanie idei czy takich jej elementów, z których coś może wyniknąć.” Trudno o większą pokorę wobec własnej pracy i jej wartości. Niespotykane jest, w czasie gdy wszyscy zabiegają o jak najbardziej efektowną autoreklamę, takie chłodne podejście do własnej pracy, szczególnie gdy pochodzi z ust jednego z najwybitniejszych specjalistów w uprawianej dziedzinie.

1.

I to jest pierwsza istotna różnica występująca między ojcem i synem. Bowiem Marek Kotański nie ukrywał, że pragnie sławy, że chce być osobą publiczną tłumacząc, że jest to droga do zyskania poparcia dla sprawy, której służy. Wprawdzie początkowo zajmował się tylko obszarami patologii – przede wszystkim narkomanii, szybko jednak rozszerzył dziedzinę swojej ekspansji.

Publicznie, z wielkim krzykiem, wypowiedział wojnę wódzce, narkomanii, potem także wirusowi HIV, ale równie chętnie podejmował inne tematy. Czyścił ubikacje, sadził drzewa na Śląsku, pukał do drzwi sąsiadów, wychowywał młodzież na ekranie telewizora, reformował więzienia. A wszystko to przy szerokiej reklamie z udziałem publikatorów krajowych oraz przedstawicieli prasy i telewizji zagranicznych. Stał się osobą publiczną, człowiekiem-instytucją (jak sam o sobie mówił), aby ukoronować swoją karierę nagrodą telewizorów: Wiktorem '86. Wszystkie te, tak pozornie rozproszone działania połą-

czył tworząc wpięty łańcuch, a potem Ruch Czystych Serc – wielką krucjatę moralną. Z hasłem moralnej odnowy wkroczył do Rady Konsultacyjnej działającej przy ówczesnym przewodniczącym Rady Państwa – Wojciechu Jaruzelskim, był w Komitecie Centralnym, w Radzie Ministrów. I tak, niepostrzeżenie, wkroczył na drogę kariery politycznej. Jej finałem była porażka w ostatnich wyborach parlamentarnych, gdy ubiegał się o tytuł senatora RP.

W działaniach politycznych Marek Kotański nie przejawiał ani skromności, ani umiaru. W Belwederze spotykając się z Wojciechem Jaruzelskim: „meldowałem mu o tragedii, a generał bardzo się przejął”. Na posiedzeniu Komisji Episkopatu do Spraw Trzeźwości: „... błagałem księży, by się włączyli w moje bitwy z alkoholem... Kościół sformułował kilkanaście znakomitych antyalkoholowych postulatów pod adresem rządu, które ja (podkr. autora) rządowi przekazałem”. Stawał się w roli męża opatrnościowego narodu, pomostu mającego łączyć Kościół, PZPR i komunistyczny rząd. Nawet, gdy był już atakowany, wyśmiewany, a jego kolejne pomysły traktowano jako niewypały, twierdził: „Wiem z danych OBOP, że nadal wielu ludzi czeka na mnie, wierzy we mnie”.

2.

Wacław Kotański bardzo wcześniej wybrał drogę, którą konsekwentnie podążał.

Po półrocznych studiach na polonistyce rozpoczął naukę japońskiego. By uświadomić sobie na co się porywał wystarczy powiedzieć, że pismo japońskie należy do najtrudniejszych na świecie. Do czytania gazety trzeba znać około półtora tysiąca znaków. Wykształcony Japończyk zna około 7 tysięcy znaków. Wszystkich jest kilkadziesiąt tysięcy. Jak wiele z nich musiał opanować profesor Wacław Kotański, by pokusić się o tłumaczenie i badanie historycznego eposu? Za swoje naukowe osiągnięcia uzyskał tytuł profesora, a cesarz Japonii odznaczył go Orderem Świętego Skarbu niezwykle rzadko przyznawanym obcokrajowcom.

Nauczyciel Wacława Kotańskiego, profesor Witold Jabłoński, uczył go: nie idź za mną. Tę samą zasadę głosił ojciec Kotana, każąc każdemu szukać własnej drogi zamiast ślepego naśladownictwa wzorów, biernego posłuszeństwa. Przeciwnie niż Marek Kotański, który ustawicznie nawoływał: choć za mną, przenosząc na ogół społeczeństwa zasadę, jaką stosował wobec narkomanów – wiara we mnie jest wiarą w wyleczenie. Chcąc zaś umocnić swój autorytet, odwoływał się do innych, powszech-

nie uznanych, pragnąc aby widziano ono w nim ich kontynuatora. Początkowo, jeszcze skromnie twierdził, że od Korczaka wziął miłość do dzieci i szacunek dla innych, umiejętność przyznania się do błędów, od Makarenki stanowczość, stawianie na najsłabszych i najtragiczniejszych. Kilka lat później, szukając autorytetów bardziej przemawiających do wyobraźni odwołuje się do Matki Teresy z Kalkuty, Jana Pawła II, Alberta Schweitzera, Brata Alberta. „Jest we mnie coś z aktu strzelistego” – mówi sytuując się w areopagu świętych. Płacząc mistykę z polityką tworzy ogólnosiwiatowy Ruch Czystych Serc, miasto utopii w Bieszczadach... i partię polityczną, której zadaniem byłoby zbawienie człowieka.

3.

Podstawą programu politycznego Kotana jest hasło moralnej odnowy, zbieżne z lansowanym przed kilku laty przez PZPR i PRON-hasłem, które ma zastąpić przebudowę polityczną i ekonomiczną kraju. Kotański nie chce słuchać o mechanizmach decyzji politycznych, mówi: dasz dolara, umyjesz kibel, posadziś drzewko, wyrzucisz z domu wódkę? Bo on to po prostu robi. Chce załatwiać problemy społeczne akcjami. Interesuje go konkretny, wymierny efekt, nawet gdyby miał być chwilowy, nic nie znaczący w wymiarze społecznym. Mówi: moje akcje są nakłuwaniem rzeczywistości społecznej, rzucam kamień, chcę zainspirować do myślenia o problemie.

Nie chce rozumieć nieufnych, wątpliwych, zawiązanych. „Nie czekajcie jak oni zmieniają, zmieniajcie sami” – nawołuje. „Gdybyście byli ludźmi, którzy czują sprawę, pomogliście mi. Zorganizowałibyscie koncert albo Maraton Nadejści” – namawia nieufnych, a gdy nie spotyka się z odzewem: wzywa, obraża, każdą formę prowokacji do aktywności uważając za dopuszczalną. Nie są ważne metody jakimi to realizuje, ważne jeśli są skuteczne.

Gdy Wacław Kotański uważa, że podstawą do działania powinna być wiedza, dla jego syna naczelną zasadą jest Miłość. Nie ta strywalizowana w komiksach i seks-shopach, lecz ta, której bliski jest termin: agaper czynna postawa skierowana wobec innego człowieka związana z konkretnymi działaniami dla jego dobra, Miłość w której najistotniejszym elementem jest współodczuwanie. Zasada ta przełożona na język guru- Kotańskiego może szokować kabo-

tyństwem i ekshibicjonizmem. Rozwinięcie wezwania: „daj sobie innym” skłania Kotana do specyficznych wyznań – jest we mnie coś z aktu strzelistego, chcę się kierować wrażliwością, moralnością, którą sam sobie wyznaczam, chcę być żarliwy.

Podobnych wypowiedzi jest wiele i można by je najwyraźniej w świecie obśmiać, gdyby nie fakt, że ich glosiciel faktycznie jest żarliwy, faktycznie całym swoim działaniem pokazuje, że można żyć porzucając agresję, rozpacz, brak nadziei. Pyta: czy mnie kochaś, ale i sam, gestem wywodzącym się z Monaru, obejmie człowieka, pocałuje, choć chwilę wcześniej wyłał na niego wiadro pomoy. Kotański myje kible, wiecuje pod sklepami z wódką, przejeżdża pół Polski, by pomóc porzuconemu dziecku choremu na AIDS, wsiada w autobus pełen nosicieli wirusa HIV... Jest jak narkoman, tyle że uzależniony nie od opiatów lecz od innych ludzi. Pragnie ich akceptacji, miłości, zainteresowania. Pyta się czy im się podoba, czy go kochają, ale także o strój, nowe spodnie, bransoletkę.

4.

Marek Kotański nie widzi, albo nie chce zauważyć, że Miłość, gdy stała się metodą przeniesioną na wiece i do telewizji traci siłę oddziaływania, pachnie fałszem i tandetą. On uparcie chce wierzyć, że po spotkaniach z nim ludzie są bardziej czystszy, mniej zakłamanymi, bardziej szczerzy. Nie chce przyjąć do wiadomości, że wywołując emocje, nie zawsze uwalnia te pozytywne. Stąd coraz częściej, coraz więcej nawiąści wokół niego. Metoda doskonale sprawdzająca się w indywidualnych kontaktach, w społecznościach patologicznych, nie nadaje się dla chorego społeczeństwa.

Marek Kotański nie chciał posłuchać ojca. Porzucił narkomanów, porzucił prawdopodobnie i ludzi z HIV-em. Doskonalego terapeuta o silnej, charyzmatycznej osobowości, nie chciał wyznaczyć sobie granicy kompetencji i skuteczności.

Zapłacił pomówieniami, które na niego rzucano, nienawiścią, zbrukaniem. Brud, którym go od pewnego czasu obrzucano, przykleił się. Trudno mieć jednak do niego o to pretensje. Wsluchany w emocje ludzi, prawidłowo odczytał ich potrzebę autorytetu, mitu, zbawcy, który poprowadzi do krainy szczęśliwości. Bowiem źródła fenomenu i wyniesienia Kotańskiego są takie same jak te, które wyniosły A. Kaszpirowskiego, S. Tymńskiego i Izaurę. Jego problem polega na tym, że Kotan, choć dobiega pięćdziesiątki utożsamia się z bajką, która go wyniosła.

Dopóki będę trzeźwy, moja dusza będzie wolna.

Tylko dwanaście kroków

KONRAD FREJDLICH

Ile miał wtedy lat? Mniej niż siedem, kiedy pierwszy raz posmakował wódki.

Reakcja dorosłych! Nie pamięta, czy dostał łanie. Zapewne, przecież ojciec był nalogowym alkoholikiem. Później, znacznie później, widząc ojca awanturującego się w domu (rodziny pijaków znają dobrze te przerażające seanse agresji, pretensji, żalów) dał sobie słowo, że już nigdy nie napije się wódki. Ale zapomniał o tym przyrzeczeniu, wydawało mu się dziecinne. Kiedy miał siedemnaście lat, pociągał zdrowo z kolegami. W szkole. W toalecie albo jakimś ciemnym zakamarku korytarza czy szatni. Wino kosztowało wtedy grosze, zwłaszcza markowy jabłok, patykiem pisany. Wystarczyło pozbić i sprzedać butelki, nie wymagało to wcale przedsiębiorczości ani smykałki do interesów, samo lało w ręce. I tak to się zaczęło. Prócz tego rodzice niektórych chłopców robili wino w domu. Niektórzy częstowali dorastających młodzieńców, czasem trzeba było podkraść świeży moszcz. Wystarczyło wetknąć wężyk do balonu i pociągnąć. Wchodził śmiało w to pijane życie, nawet nie widział, że ono jest pijane, w tym środowisku była to norma, norma.

Kiedy poznał dziewczynę, z którą potem się związał, nie był jeszcze alkoholikiem. Nie uważał się nawet za pijaka, poczucie własnej godności odsuwało daleko myśl, że już tak się stoczył. Oszukiwał samego siebie i oszukiwał dziewczynę, z którą wziął ślub, bo pewnie by go odrzuciła. Miał dwadzieścia pięć lat, jego wybranka była znacznie młodszą, ale życiowo dojrzałą, wiedziała dlaczego zakłada rodzinę. Szybko poznała prawdę.

Teraz, gdy jego życie jest doszczętnie potracone i trzeba je mozolnie sklejać, drobinka po drobince, stawia sobie pytanie: dlaczego to wszystko, skąd to okrutne doświadczenie?

„Mój nałóg brał się z braku miłości”.

To nie jest usprawiedliwienie, czysta konstatacja.

Już w dzieciństwie chciał zwrócić na siebie uwagę ojca, wynikało to z poczucia odrzucenia.

Żona? Gdy teraz analizuje ich związek, widzi, że go nie rozumiała. Zresztą sam siebie też nie rozumiał. Wrażliwość to zaatek na alkoholizm, predyspozycja. Były w jego życiu momenty, bardzo ważne, chociaż nie potrafiłby ich nazwać. Szedł do domu, żeby coś ważnego powiedzieć żonie. Trzeźwy. A ona od progu: — Zdejmuj buty, bo dywan pobrudzisz. Czysta była, lubiła porządek. A z nim wtedy działo się coś złego. Uważał, że jest odrzucany, nie chciany, więc już nie ścigał tych kapi. Wychodził, trząsał drzwiami. A potem się uchrlewał, szukał zapomnienia i ucieczki. I to się powtarzało, bez żadnej refleksji, były jednodniówki i dłuższe seanse, norma. Spostrzegł się, że coś jest chyba nie tak, kiedy żona brała z nim rozwód. Małżeństwo trwało wszystkiego dwa lata.

Wstrząs był tak silny, że nie pił całe pół roku. Żał mu było przede wszystkim rocznego synka. I mocno drażniła miłość własna czyniła to rozstanie jeszcze boleśniej. Znowu został

odepchnięty, choć tak potrzebował ciepła. Znajdował je u kolesiów. Za przyjacielskie klepienie po ramieniu bez słowa sprzeciwu stawał półtrójkę. Zarabiał nieźle, jest z wykształcenia technikiem samochodowym, zatrudnił się w budownictwie. Jeździł do Gdańska, Grudziądza, Bełchatowa, Nowej Wielkiej Wsi, w sumie czternaście lat w delegacjach. Wielkie budowle socjalizmu i cudowne warunki do picia. Ale miało to też dobre strony, poznawał ludzi. Jest teraz właścicielem nie napisanej książki charakterów, tylko on jeden wie, na której stronie musi ją otworzyć, aby dużo się dowiedzieć o swoim rozmówcy. To była jedyna wartość, jaką wyniósł z pracy w socjalistycznym sektorze. Prawda, umożliwiono mu jeszcze na dogodnych warunkach nabycie ciężarów, kiedy postanowił przenieść się na swoje. Jeździł nią sześć lat. Jako kierowca inteligentny, nigdy nie siadał po pijanemu do szoferki. Stać go było na wynajęcie sobie ludzi. „Czekalem, kiedy wracali z kasą, zabierałem ją i zaraz wszystko wspólnie przepijaliśmy. Dbałem tylko o to, aby zostało na ropę i zapłacenie ludziom przy wyładunku.”

Sąd przyznał mu prawo do widywania synka, cztery razy w miesiącu, ale były kłopoty z egzekwowaniem tych spotkań. Teściowie robili wszystko, aby mu to utrudnić. W ustalonych wyrokach terminach najczęściej dziecka nie zastał albo wybuchały awantury, w obecności Marczka. Więc poniechał tych wizyt, aby oszczędzić synkowi cierpienia. I tylko czasami na ulicy dostrzegając sylwetkę jakiejś kobiety z małym dzieckiem podbiegał w nadziei, że spotka synka. Ale za każdym razem spotykało go rozczarowanie.

Po dwóch latach mimo wszystko zszedł się ponownie z żoną, przemieszczali z sobą dziesięć lat. To chyba nie było dobre, bo coś mógł dać dziecku. Dawał mu tylko siebie pijanego.

„Zabrałem mu dzieciństwo i nie mam na to żadnego usprawiedliwienia”.

To kolejna konstatacja, uczyniona jak gdyby mimochodem, bez paury.

Nie, żona nie starała się mu pomóc, wraz z teściami spisała go na straty, wiedziała, że skończy w ryzostoku.

„Zrobiłem im wielkie świństwo, bo chodzę trzeźwy. Już pięć lat”.

Zerwał z nałogiem w rok po ponownym rozstaniu. Ten rok był najtrudniejszy w jego życiu, naprawdę się staczał. Nawet własna matka machnęła na niego ręką, a matki nigdy nie rezygnują, walczą do końca.

To był grudzień 1985 roku. Na dwa dni przed Wigilią odstawił butelkę, bo już nie mógł pić, organizm się buntował. Leżał opadły z sił przeżywając wielki strach, że znowu zaczął się nad nim litować, mówić mu jaki jest nieszczęśliwy. Ale przy odświętnie nakrytym stole matka nie postawiła przed nim talerza. Urwała kawałek gazety i na tę płachtę nałożyła mu nieco kapusty z grochem. Nie obraził się, tylko zawinął to postne danie i poszedł z nim do kolegi, też alkoholika. Tamten miał tylko kawałek suchego chleba.

Ale wtedy zjawił się trzeci kompan, z butelką.

„Nie piłem z nimi, tylko patrzyłem i gapilem się w telewizor. Później zachciało mi się wyjść na dwór, chciałem, żeby mnie owołało, w tym mieszkaniu było mi za ciasno”.

Poszedł na Pasterkę. Stał przy filarze w kuszym płaszczyku i obserwował starannie ubranych ludzi. A kiedy trąby podniosły buchnęły „Wśród nocnej ciszy” i cały kościół zaśpiewał, doznał wrażenia, że coś wlatcza go w posadzkę. Dostrzegł własną nicość i marność. Po mszy aż do rana chodził opuszczałymi ulicami. Nie czuł chłodu, coś głośno belkotał, jak pijany, a kiedy weszło słońce, zorientował się, że ma na policzkach zamrażnięte ły.

„Wiem teraz, że tej nocy rozmawiałem z Bogiem. Wysłuchał mnie”.

To był dzień przełomu. Po świątach zgłosił się do przychodni na psychoterapię. Leczył się tam dwa lata, ale jakby mu czegoś brakowało. Nie wódki bynajmniej, chociaż ani razu nie złamał nakazu trzeźwości. Brakowało mu czegoś duchowego. Nie potrafił pokochać samego siebie.

„Kiedy człowiek może już pokochać samego siebie, to nie ma możliwości, aby nie pokochał drugiego człowieka. I dopiero wtedy ma pokój z samym sobą. Co, ładnie powiedziane?”.

W tych słowach jest ledwie wyczuwalny dystans. Utwierdza jeszcze to wrażenie, kiedy stwierdza, że nazywają go światobliwym, niewiedzącym i mitomanem. Tak mówi o nim bracia-alkolicy; a nawet psycholodzy. Ale to nieważne, jak go nazywają, istotne jest to, że jest trzeźwy.

„Kiedy mam pokój z sobą, to jestem wolny. Będę nim nawet wtedy, gdybym trafił do więzienia. Mnie mogą skuć w kajdany, obezwładnić, ale dopóki będę trzeźwy, moja dusza będzie wolna”.

Dziś jest dumny, że ksiądz Józef Belniak, proboszcz kościoła św. Teresy uważa go za swego przyjaciela. Nie stało się to od razu, zaczęło się przecież od konfliktu, nawet przyrzekł księdzu zemstę za zamknięcie nocnego sklepu monopolowego w pobliżu tej świątyni. Ale po pamiętnej Pasterce przyszło ożreżwienie. Tak dalece, że pikietował sklepy z wódką narażając się na milicyjne represje, bo to pikietowanie miało podtekst polityczny.

Potem, nie zrywając więzi z Kościołem, związał się z grupą Anonimowych Alkoholików na Bałutach. To było także ośnienie. Makler giełdowy William Griffith Wilson, twórca tego ruchu, który w 1935 roku odbył pierwszy w świecie miting z lekarzem Robertem Lohbrookiem Smithem, także alkoholikiem, nie spodziewał się chyba, że wspólnota ludzi dotkniętych nieszczęściem rozszerzy się na cały świat. Celem ruchu jest pozostawanie w trzeźwości i pomaganie innym alkoholikom w jej osiągnięciu. A nikt chyba nie wie lepiej, jak to robić od samych zainteresowanych. Realizują oni program dwunastu stopni albo kroków. Krok pierwszy wyraża zasadą: „Przyznaliśmy, że jesteśmy beznadni wobec alkoholu, że przestaliśmy kierować własnym życiem”. Krok piąty to hasło: „Wyznaliśmy Bogu, sobie i drugiemu człowiekowi istotę naszych

błędów”. Ósmy stopień wtajemniczenia sprowadza się do konstatacji: „Zrobiliśmy listę osób, które skrzywdziliśmy i staliśmy się gotowi zadośćuczynić im wszystkim”. Krok jedenasty przybliża do zwycięstwa: „Dążyliśmy przez modlitwę i medytację do coraz doskonalszej więzi z Bogiem (jakkolwiek Go pojmujemy), prosząc jedynie o poznanie Jego woli wobec nas oraz o siłę do jego spełnienia”. Krok ostatni jest już nadzieją: „przebudzeni duchowo w rezultacie tych kroków, staraliśmy się nieść postanie innym alkoholikom i stosować te zasady we wszystkich naszych poczynaniach”.

Cztery lata temu przy kościele św. Teresy powstała poradnia odwykowa, rok później Grupa AA „Pod Kopułą”. Ich prowadzenie ks. Belniak powierzył swemu niedawnemu przeciwnikowi, który groził mu pobiciem za likwidację sklepu monopolowego. W ciągu dwóch lat uporczywej walki z nałogiem stał się on już innym człowiekiem.

Grupa AA „Pod Kopułą” działa w niewielkiej salce na zapleczu kościoła. Tylko skromny, surowy krzyż przypomina, że to wszystko odbywa się w świątyni. I „Modlitwa o pogodę ducha”, ułożona przez św. Franciszka z Asyżu, o pięknych, prostych słowach: „Boże użycz mi pogody ducha, abym zmienił to, co zmienić mogę; odważ, abym nie zmieniał tego, czego zmienić nie potrafię; i mądrości, abym umiał odróżnić jedno od drugiego”.

Na znak jedności wszyscy ujmują się za ręce i tworzą z nich łańcuch. Na stole płoną świece. Napis na kartoniku przypomina, że nic, co zostało powiedziane w tej sali, nie może przedostać się za jej mury. To są gwarancje anonimowości, która budzi wzajemne zaufanie. Tu mówi się o wszystkim, co leży na sercu z okrutną szczerością.

A potem wyciągnięta do góry ręka i sakramentalne słowa:

— Na imię mam Henryk i jestem alkoholikiem.

Tak mówi się po rocznej, pięcioletniej i dożywotniej nawet abstynencji. Każdy z tych ludzi wie, że nigdy nie powinien sięgnąć po kieliszek.

Henryk nie pije już pięć lat, pracuje jako kościelnik w parafii św. Teresy. Ukończył Studium Pomocy Psychologicznej i Studium Teologii Trzeźwości. To ostatnie w Krakowie, bo w Łodzi dotąd takie nie powstało, o co ma pretensję do miejscowych biskupów.

Henryk wie, że nawet posiadając wiedzę teoretyczną jest tylko jednym z braci-alkoholików. Wie też, że bez pomocy księży z parafii byłby beznadziejny. Podobnie jak bez pomocy lekarzy i psychologów, którzy mu pomogli odnaleźć samego siebie.

Prowadzi także zajęcia z grupą Al-Ateen, to znaczy z młodzieżą, której rodzice nadużywają alkoholu. Są to przeważnie dziewczęta z pobliskiego Hufca OHP. Ostatnio zainteresował się więźniami uzależnionymi od alkoholu.

Praca ta sprawia mu zadowolenie. Są na świecie ludzie, którzy jak on sam, mają pokrocone życie i trzeba im pomóc. Ma wyniki, ale nigdy nie zapomina o potrzebie wyzbycia się pychy.

— Często tylko po to idę „Pod Kopułę”, aby podnieść rękę i powiedzieć: Mam na imię Henryk i jestem alkoholikiem.

W jego ustach ma to odcięcie pewnej dumy.

Na alkoholowej scenie Polski

Grób i więzienie

ZOFIA TARNOWSKA

...oskarżam o to, że 16 maja 1990 roku, będąc w stanie nie-trzeźwym, przewidując i godząc się na spowodowanie śmierci męża (...) uderzyła go nożem kuchennym w szyję powodując ranę kłutą szyi i klatki piersiowej z uszkodzeniem tętnicy i (...) co spowodowało krwotok wewnętrzny w następstwie czego Adam B. zmarł, to jest o czyn z artykułu 148 §1 kodeksu karnego.

Tak brzmiał, przytoczony w skrócie, zarzut aktu oskarżenia przeciwko 35-letniej kobiecie — zabójczyni własnego męża. Sprawa o zbrodnię, jedną z kilkuset popełnianych rocznie w naszym kraju, pozabawionych irracjonalnych motywów, ale osadzonych w charakterystycznym tle alkoholowej pomroki.

Statystyka ministerstwa sprawiedliwości zawiera następujące dane: w 1989 roku skazano prawomocnymi wyrokami 299 osób za dokonanie zbrodni zabójstwa. W pierwszym półroczu 1990 r. — 188 osób (nie wszystkie jeszcze wyroki są prawomocne). W Łodzi w zeszłym roku dokonano 48 zabójstw, (27 w roku 1989). Co najmniej trzy czwarte tych tragedii ma źródła w pijaństwie lub alkoholizmie.

OBRAZEK Z OTCHŁANI

P.T. Czytelników należy

uprzedzić, że do opisu poniższych wydarzeń użyty został język pozbawiony jego naturalnego bogactwa i piękności. Jest on suchym językiem faktów na użytek wymiaru sprawiedliwości, lecz oddaje charakter zjawisk i środowisk określonego kręgu społecznego.

* * *

Alicja i Adam B. byli małżeństwem o kilkunastoletnim stażu. Nadużywanie przez oboje alkoholu powodowało częste awantury. Adam leczył się odwykowo, ale bezskutecznie. W tych warunkach przyszło na świat dwoje dzieci. W dniu tragedii jedno liczyło 6, a drugie



Rys. Dariusz Romanowicz

2 lata życia. Być może ze względu na nie sąd nie uznał konieczności rozwodu, o który wystąpiła Alicja. Tymczasem życie małych istot toczyło się w rytmie alkoholizmu rodziców. Pijany tatuś zarzucał pijanej mamusi urodzenie dzieci przy pomocy innego mężczyzny, a mamusia opuszczała często dom na dłuższe okresy pozostawiając troskę o potomstwo jednej lub drugiej babci. Mąż nie zawsze oddawał żonie

(nie pracującej) pieniądze, ale jeżeli wydawał je na wódkę — płał razem z nim. Tak też było 15 maja, kiedy wrócił do domu w stanie „po spożyciu alkoholu” z półlitrem wódki. Wypili ją razem przy akompaniamencie awantury o zasiłek rodzinny. Nie świtało jeszcze, kiedy mężczyzna wyszedł na poszukiwanie wina. Nie dostał. Nim wyszedł po raz drugi, odwiódł go znajomy, równie spragniony. To on kupił trzy butelki.

Cała trójka piła, dopóki nie zmorzył jej sen. Znajomy ocknął się po kilku godzinach i wyszedł. Przed południem obudziła się Alicja i uznała za słuszne zrobić dzieciom śniadanie. Mąż tego nie uznał za konieczne. Doszło do kłótni z rękoczynami. Mały synek zamiast śniadania dostał polecenie wezwania babki. Agresja

Dokończenie na str. 14

„A więc wracałem na Wołyń, w moje „strony rodzinne”, w warunkach tak straszliwych i nieoczekiwanych...” Już w pierwszych dniach września 1939 roku załamały się plany obronne Armii „Łódź” dowodzonej przez gen. Juliusza Rómmla. 6 września ewakuowały się łódzkie władze administracyjne. 9 września 1939 roku po ulicach łódzkiej maszerowali żołnierze 8 Armii Wehrmachtu. „Widziałem niejedno i przeżyłem niejedno. Makabryczne sceny paniki i zalamania się człowieka” – tak wspominał tamte czasy Henryk Józewski – ostatni przedwojenny wojewoda łódzki.

1.

Rząd gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego ewakuował się do Łucka. Dla Łódzkiego Urzędu Wojewódzkiego na miejsce ewakuacji wyznaczono miejscowość Luboml na Wołyniu. Po zinstalowaniu się w Lubomlu udał się Henryk Józewski do Łucka, gdzie między innymi spotkał Marię Dąbrowską i Stanisława Stempowskiego, z którymi był już od lat zaprzyjaźniony. Zameldował się też – jak to się wówczas mówiło – u premiera gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego, a ten polecił mu udać się do Rumunii, gdzie miał przygotować warunki dla przeniesienia się tam rządu. Misja ta niezbyt się podobala Henrykowi Józewskiemu. „Wolał być przydatny w kraju. I wtedy właśnie spotkał ministra rolnictwa Juliusza Poniałowskiego.

Po wybuchu wojny płk Wacław Kostek Biernacki został mianowany komisarzem cywilnym przy Naczelnym Wodzu – marszałku Edwardzie Rydzu-Śmigłym. W skład Rady Ministrów został dokooptowany wojewoda śląski Michał Grażyński. W trójkę z Juliuszem Poniałowskim mieli zająć się akcją propagandową. Zaproponowali współpracę Henrykowi Józewskiemu. Zgodził się, ale postawił dwa warunki: – pierwszy, że wyreklamują go u premiera z rumuńskiej misji, drugi – że zajmie się organizacją partyzantki na Polesiu i Wołyniu. Oba warunki zostały przyjęte. I tak Henryk Józewski pozostał w Polsce.

Trzeba pamiętać, że Henryk Józewski urodził się w Kijowie, tam spędził młodość, ukończył szkołę i uniwersytet. Był w rządzie Semena Petlury wiceministrem spraw wewnętrznych. Później był komendantem Komendy Naczelnej III Polskiej Organizacji Wojskowej, która po roku 1918 zajmowała się przede wszystkim wywiadem i sabotażem. Miał doświadczenia konspiratora. W 1920 roku, gdy wojska Michała Tuchaczewskiego stały na przedpolach Warszawy, Józef Piłsudski polecił Henrykowi Józewskiemu przygotowanie konspiracyjnej organizacji, która podjęłaby działalność w wypadku zajęcia Warszawy przez bolszewików.

Propozycja stworzenia partyzantki na Podolu i Wołyniu zainteresowała gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego. Wyraził swoją zgodę, ale chciał jeszcze, aby propozycję tę zaakceptował marszałek Edward Rydz-Śmigły. Polecił więc Henrykowi Józewskiemu udać się do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie stacjonował Naczelny Wódz WP. Niestety, gdy Henryk Józewski przyjechał do Włodzimierza Wołyńskiego, Naczelnego Wodza już tam nie było. Ruszył w stronę granicy rumuńskiej. Wrócił

więc Henryk Józewski do Łucka, gdzie w podziemiach prawosławnego soboru znalazł Marię Dąbrowską i Stanisława Stempowskiego. Dysponował samochodem i kierowcą i zaproponował im podróż ku Rumunii.

Ujechali zaledwie kilka kilometrów, gdy Henryk Józewski zatrzymał samochód. Poszedł do lasu, aby „pomówić z samym sobą”. Gdy wrócił, zaproponował, że odstąpi samochód i kierowcę, który się na to zgodził, aby Maria Dąbrowska

jennej Polsce osobistością. To wystarczyło.

Pierwszym ważnym dla zamysłu Henryka Józewskiego człowiekiem był, spotkany w Pińsku, dyrektor generalny Administracji Lasów Państwowych – Loret. Drugim – komandor Witold Zajęczkowski. Maria Dąbrowska – wprawdzie po latach – zanołowała w „Dzienniku” taką oto charakterystykę Henryka Józewskiego:

„Anna mówi, że Henryk jest mieszaniną Wernyhory i Ras-

ruszył w kierunku Wilna, ale dotarł tylko do Baranowicz, gdzie wpadł w ręce NKWD.

W Pińsku Henryk Józewski spotkał dowódcę Floty Pińskiej – komandora Witolda Zajęczkowskiego. Przedstawił mu swój plan i uzyskał poparcie. Komandor Witold Zajęczkowski oddawał do dyspozycji Henryka Józewskiego batalion marynarzy. Służba leśna i batalion dobrze wyszkolony i wyposażony mogły już stanowić podstawę przyszłego oddziału partyzanckiego. Na siedzibę

Losy ostatniego przedwojennego wojewody łódzkiego (2)

Powrót na Wołyń

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

i Stanisław Stempowski mogli jechać dalej. Ale oni odmówili. Chcieli pozostać w Polsce. Wrócili więc wszyscy do Łucka.

Z Łucka Henryk Józewski pojechał do Pińska, gdzie zatrzymał się w Hotelu Angielskim pełnym urzędników warszawskich urzędów i ministerstw. Byli zajęci dwoma zmartwieniami – pierwszym – jak i gdzie zdobyć pożywienie, – drugim – jak i dokąd wyostać się z Polesia. W Pińsku Henryk Józewski spotkał dwóch ważnych dla jego pomysłu ludzi. Nie miał wprawdzie żadnego pisemnego polecenia dla tworzenia partyzantki, ale miał słowną zgodę gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego i był znaną w przedwo-

putina, ja dodaję – Wernyhory, Rasputina i Cyrana de Bergerac, bo to postać z pióropuszem. Trochę też i z ducha „trzech muszkieterów”. (...) Henryk wywodzi się od partyzantów Czarnieckiego i wszyscy późniejsi partyzanci mu patronują”.

Tę cechę urodzonego konspiratora musiał widać też zaawżyć dyrektor Loret, gdyż zgodził się dać mu do dyspozycji służbę leśną Polesia i Wołynia. Odpowiedni dokument, z pieczęciami i podpisami, wydrukowano na batystowej chusteczce pani Loretovej. Wyznaczono łącznika spośród personelu Administracji Lasów Państwowych. Dyrektor Loret natomiast, wraz z rodziną i osobami towarzyszącymi, wy-

dowodztwa partyzantki Henryk Józewski wybrał miejscowość Stolin na Polesiu. I tam udał się wraz ze swoim łącznikiem, który był byłym ulanem i dyrektorem wydziału w Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach. W Stolinie zatrzymali się u nadleśniczego Jana Bzury.

2.

W planach walki z wrogiem, który mógłby zagrozić Polsce zakładano walkę dywersyjną, działanie w konspiracji. W 1930 roku w Oddziale II Sztabu Głównego Wojska Polskiego powołano do życia Wydział Specjalny, który miał za zadanie przygotowanie ludzi do walki dywersyjnej. Od 1935 roku szkolenie specjalne dla działania w konspiracji na zapleczu wroga prowadzono w

Grudziądzu. Jednym z wykładowców był major Jan Włodarkiewicz, który podczas okupacji założył Tajną Armię Polską (TAP). Do specjalnego przeszkolenia typowano godnych zaufania żołnierzy, działaczy PPS, członków organizacji paramilitarnych, harcerzy. Przygotowania te niewątpliwie ułatwiły później organizację konspiracji, ale realizacja tych planów nie spełniła pokładanych nadziei.

Wiosną 1939 roku, gdy coraz bardziej stawało się oczywiste, że wojna jest nieunikniona, zaczęto przygotowywać plan działań dywersyjnych na terenach zajętych przez Wehrmacht. Grupy dywersyjne, przygotowane przez Oddział II Sztabu Głównego WP, miały za zadanie paraliżowanie komunikacji, niszczenie sieci telefonicznej i telegraficznej oraz prowadzenie działalności wywiadowczej. Działania tych grup miały być synchronizowane z działaniem poszczególnych armii WP.

Fronty jednak szybko zostały porwane, armie poszły w rozsypek, łączność została porywana, a grupy specjalne pozostawiono same sobie. Nadano im różne nazwy. Na Pomorzu działała grupa „Grunwald”, na Białostocczyźnie – Dywersyjne Oddziały Wojskowe, w Zagłębiu Dąbrowskim – bataliony „Okrzeja – Odra”, w Łodzi „Baron – Berlin”. Grupy te nie spełniły swego zadania, choć przeprowadziły kilka akcji. Grupa „Grunwald” przeprowadziła akcje dywersyjne na kolei w powiecie Chojnice, wysadzono kilka słupów wysokiego napięcia w okolicy Szczytna, zniszczono kilka tuneli na Podkarpaciu, na Śląsku Górnym i Cieszyńskim.

Do działalności konspiracyjnej wspólnie ze Sztabem Głównym przygotowało się też Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W lecie 1938 roku powołano Komitet Siedmiu (K-7). W jego skład wchodziło trzech oficerów Sztabu Głównego WP i trzech urzędników MSZ, na jego czele stanął wysoki urzędnik MSZ – Wiktor Tomir Drymmer. K-7 miał swoją działalnością objąć tereny zamieszkałe przez mniejszość polską poza granicami RP. Opierano się głównie na młodzieży, którą szkolono do celów specjalnej działalności. W momencie zajmowania terenów państwa polskiego przez Wehrmacht miano się łączyć z młodzieżą na terenach zajętych i tworzyć organizacje konspiracyjne do walki z wrogiem. Plan ten został zaaprobowany przez marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Znając te plany marszałek Edward Rydz-Śmigły nie zawahał się już z terytorium Rumunii wysłać do Polski majora Edmunda Galintę z zadaniem tworzenia organizacji tajnej do walki z wrogiem zajmującym Polskę. Majorowi Edmundowi Galintowi udało się porwać z lotniska lekkiego bombowca produkcji polskiej „Sum” i wylądować nim na Polu Mokotowskim w Warszawie. Była to jednak decyzja spóźniona, gdyż gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz utworzył już podziemną Służbę Zwycięstwu Polski, która później przekształciła się w Związek Walki Zbrojnej i AK.

3.

Henryk Józewski nie miał złudzeń, że Polska znajdzie się pod niemiecką okupacją. W Stolinie zastał grupę inżynierów leśników, którym zlecił

przygotowanie szczegółowych map Polesia i Wołynia. Była to sobota 16 września 1939 roku.

Rankiem, w niedzielę 17 września 1939 roku, Jan Bzura przyniósł wiadomość o przekroczeniu przez oddziały Armii Czerwonej wschodniej granicy Polski. Nie było chwili do stracenia. Zdecydował się na powrót do Warszawy. Do Siedlec przyjechali samochodem. Musieli po drodze przeskoczyć szosę pełną niemieckiego wojska. Wyczekali aż powstanie luka i udało się. Pod Siedlcami zostawili samochód w lesie. Do Warszawy szli już pieszo. Do Mińska Mazowieckiego dotarli 2 października 1939 roku. Właśnie Niemcy zezwolili na powrót do Warszawy. Udał się więc podwoda do miasta. Początkowo Henryk Józewski zatrzymał się u znajomej żony oficera na Saskiej Kępie.

„Mój pierwszy wypad do Warszawy dał obraz koszmaru – napisze po latach. – Gruzy, spalone domy, sterczące w niebo wypalone mury. Ulice, jak np. Nowy Świat, były usypiskami sięgającymi drugiego piętra. A po wszystkich tym snulo się zbiedniałe, przeredzone ludzkie mrowisko.”

Właśnie na Nowym Świecie spotkał Henryka Józewskiego znany działacz PPS – Zygmunt Zaremba. Tak to spotkanie opisał:

„Siedział zgarbiony, zarośnięty, w jakimś paletku poszarżowanym, w ciężkich buciorach. Stosunki nasze dawno uległy rozbiciu, toteż niemal byłem zdziwiony, gdy pan ten zatrzymał mnie i zaczął gwałtownie wyrzucać z siebie: – Wracam znad granicy rumuńskiej, prawie cały czas na piechotę... Nie mogłem znieść tego upokorzenia. Chcę na coś przydać się tutaj. Zrozumcie mnie i zapomnijcie o przeszłości.”

Spotkanie to nie przyniosło żadnych rezultatów. Wprawdzie później Henryk Józewski spotkał się jeszcze z Maciejem Ratajem – przedstawicielem ruchu ludowego i Mieczysławem Niedziałkowskim – przedstawicielem ruchu socjalistycznego, ale przedtem spotkał płk. Stefana Roweckiego, który skontaktował go z gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewskim, a ten powierzył mu funkcję komendanta SZP Warszawy i Okręgu Warszawskiego.

Dlaczego Henryk Józewski nie powiedział Zygmunutowi Zarembie, że wraca nie spod granicy rumuńskiej, a z Polesia, nie cały czas na piechotę, a przez dużą część drogi samochodem? Być może, jako wytrawny konspirator, wiedział, że nigdy nie należy mówić całej prawdy.

Swojej funkcji w SZP nie pełnił długo. Po powołaniu przez gen. Władysława Sikorskiego Związku Walki Zbrojnej odszedł, ale nadal był związany z ZZW, a potem z AK. Ale to już inna część opowieści o ostatnim łódzkim przedwojennym wojewodzie.



Patrol podoficerski

Tak nazwano w obu Amerykach wyzyczyn Jurka Adamuszkę. Było to cztery lata temu. Nasz rodak, mieszkający w Kanadzie, przebył w ciągu 18 dni 11 godzin i 15 minut trasę o długości 23 527 km, łączącą najodleglejsze krańce Ameryki Północnej i Południowej.

Wystartował 2 listopada 1986 roku z Prudhoe Bay na Alasce. Jest to miejscowość znana tylko pracownikom odwiertów naftowych. Prowadzi do niej kamienista, o tej porze roku już zaśnieżona droga. Prudhoe Bay nie ma w polskich encyklopediach. Jurek przestudiował amerykańskie atlasy. Upewnił się, że tutaj kończą się wszelkie drogi. Dalej rozciąga się Arktyka.

Opowiadał mi później: „już na początku zapała mnie śnieżnica, pracownicy stacji benzynowej stukali się w czoła, ostrzegali, że jeśli nie nacisnę gazu, utkwę w zaspach na kilka dni”. A potem było różnie. W pamięci pozostały migawki z trasy, jak strzępy porwanej taśmy filmowej. Jechał bowiem przeciętnie 1270 km dziennie. Ścigał się z przestrzenią i czasem. Złożył od razu, że wjedzie do „Księgi Rekordów Guinnessa”.

Za szybami jego wozu mignęło 12 krajów: Kanada, Stany Zjednoczone, Meksyk, Gwatemala, Salwador, Nikaragua, Kostaryka, Panama, Kolumbia, Ekwador i Chile. Zakończył podróż w Argentynie, w mieście Ushuaia wysuniętym najdalej na południe, sąsiadującym z wodami Antarktyki.

Chciał być najlepszy

Jerzy Adamuszek urodził się w miejscowości Chechło, ale nie tej pod Pabianicami, lecz innej – na Pustyni Błędowskiej. Jest absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do Montrealu przybył w 1980 roku. Ożenił się bowiem z kanadyjką polskiego pochodzenia.

Skąd wziął się pomysł szaleńczej samochodowej eskapady? Jeszcze jako student geografii zwiedził niemal całą Europę, trafił na Syberię Zachodnią, był w Azji Środkowej. A kiedy żona, z którą poznał się w Krakowie, zabrała go do Kanady, po dwu latach wyprawił się rowerem w Góry Skaliste. Przepedał samotnie 2000 km. I wówczas zamarzyło mu się „coś większego”, o czym będą mówili ludzie. Tylko co?

W Kanadzie pracował jako elektryk, murarz, tynkarz, kierowca, stolarz, malarz, dekarz. Odkładał pieniądze. Wreszcie trafił do firmy, opracowującej mapy dla niewidomych, którzy czytają metodą Braille'a. Znalazł się blisko kartografii, której uczył się w kraju. Zainteresował się, jaka odległość dzieli miejscowości położone na skrajach obydwu Ameryk, czy ktoś przejechał kiedykolwiek od Alaski do Ziemi Ognistej i ile mu to zabrało czasu. „Chciałem wymyślić coś, w czym będę najlepszy”. Tylko w ten sposób można zwrócić na siebie za oceanem uwagę.

Wziął do ręki „Guinness Book of Records”, biblię tych, którzy snują podobne marzenia. Nie interesowało go ustalanie rekordów w jedzeniu makaronu lub puszczaniu baniek. Postanowił wpisać się do księgi rekordów wyczynem geograficznym.

Napisał listy do 60 firm, szukając sponsorów. Odpowiedziały tylko... dwie, w tym nasz „LOT”. Odezwała się też jedna osoba prywatna. Pewna stara Żydówka gotowa była odstąpić mu swego starego cadillaca „Elegance 1979”, którym jeździła tylko po zakupy i do bożnicy. Wóz miał na liczniku 85.000 km i palił około 35 l benzyny na 100 km. Nowy samochód tej klasy kosztował w 1986 roku 40.000 dolarów kanadyjskich. Siedmioletniego cadillaca Jurek nabył za 5000 dolarów. Pozostało mu 3000 dolarów na benzynę i 1500 dolarów na przewóz tego smoka... samolotem nad Kanałem Panamskim.

Prosił firmę General Motors, aby go dofinansowała. Nie byli zainteresowani: biznes to sprzedaż nowych wozów, a nie reklamowanie starych. Nowego dać nie chcieli. Mało cwaniaczków, miewa „genialne pomysły”?

Co wziął w drogę?

Teraz ekwipunek. Najpierw zapasowe części do wozu: filtry olejowe, paski klinowe, reflektory, dętki, koła z felgami. Sprzęt biwakowy: spał w wozie, zrobił sobie łóżko po prawej stronie, zabierał też śpiwór. Odzież: po pięć par skarpet, spodnie i podkoszulki (w tym 2 ciepłe), dwie pary spodni, dres, marynarka, sweter, kurtka zimowa, czapka, rękawiczki, szalik. Na pranie w drodze nie będzie czasu. Aha, jeszcze budzik. No i jedzenie: błyskawiczne zupy z Korei Południowej, konserwy mięsne i rybne, kielbasa suszona, konfitury, dżem, czekolada, orzechy, miód, ogórki, chleb o przedłużonej świeżości. Mało jadł, bo jedzenie... męczy, chce się spać za kierownicą. Po zastanowieniu się dodał: „ale miodu wziąłem aż cztery litry, bardzo go lubię”.

Nasi z Księgi Guinnessa

Samotny rajd od przylądka do przylądka

RYSZARD BADOWSKI

TRANS AMERICAS DRIVE



Miał też torebkę glukozy, którą jednak zgubił.

Wykonał pięć szczepień: na cholera, ospę, malarię, żółtą febrę. Piątego nie zapamiętałem. Wziął też 8 rodzajów podstawowych leków. Nie skorzystał z żadnego.

Piszę to na użytek tych, którym zamarza się podobne wariackie pomysły. Tylko takie są wartości wielkich wypraw. Wyprawa Jurka miała być wielka, taka jakiej jeszcze nie było. Kosztowała go w sumie 12.000 dolarów kanadyjskich (8000 USD).

Przygody

W Hondurasie żołnierze ukradli mu magnetofon, sandały, zegarek, koszulkę, maszynkę do

golenia. W Peru obrońców kraju interesowała wieziona przez niego butelka. Wypili płyn do dezynfekcji ust. W Kolumbii żołnierz przystawił mu karabin do brzucha i zażądał „dineros efectivos”, gotówki.

Jeszcze o Peru. Nocna jazda przez pustynię. Brak znaków, drogowskazów, krzyżujące się ślady na piasku, niektóre prowadzące donikąd, to znaczy do nieczynnych szybów naftowych. Ani śladu żywego człowieka. Wspomina to jak zły sen. Temperatury: od -35 stop. Celsjusza na Alasce do +54 stop. C w strefie równikowej. Chociaż bardzo się spieszył, przystanął na chwilę przy pomniku przedstawiającym kulę ziemską, który znajduje się na równiku w Ekwadorze.

Ile spał dziennie? Średnio 4-5 godzin. W ta-

kich chwilach organizm mobilizuje rezerwy. Po silki przyrządzał w czasie jazdy. Miał pojemniki do gotowania zup, zaparzania herbaty i kawy. Podłączał je do gniazda od zapalniczki. Coś dla ducha? Tylko radio, a także trzy kasety z nagraniami Demisa Roussosa i Tomá Jonesa. Najtrudniejsze chwile? Gdy mijal miejsca interesujące go szczególnie jako geograf, o których zobaczeniu zawsze marzył. Jedynie w Meksyku zboczył z drogi, aby przynajmniej rzucić okiem na słynny Stadion Azteków. Do najtrudniejszych chwil zalicza także siedem dni przymusowego postoju w Panamie, kiedy czekał na samolot, który mógłby przetransportować jego wóz do Kolumbii. Między Ameryką Północną i Ameryką Południową ciągle brak łączących się ze sobą dróg. Po obu stronach kanału jest dżungla.

Najmilsza niespodzianka? Powitanie w Ushuai przez Polaka, Michała Zapruckiego. Spędził u niego trzy dni. Zapucki od kilku lat nie rozmawiał po polsku. Z trzema synami i dwoma córkami porozumiewa się po hiszpańsku. Nazywają go tutaj „Sapruki”. W Ushuai Jurek Adamuszek po raz pierwszy umył wóz!

Radiostacja „LRA 10 Ushuaia”, wywiady w piśmie „Tierra del Fuego”, łącznie 14 wypowiedzi w prasie, 27 nagrań radiowych, 7 występów w telewizji.

Powrót w sławie. Wymarzony wpis do Księgi Rekordów Guinnessa. Plany na przyszłość? Samochodowa wyprawa dookoła świata w ciągu 40-45 dni. Jeszcze raz próba samego siebie, pojedynek z przestrzenią i czasem. Miał nadzieję, że dzięki uzyskanemu rozgłosowi znajdzie teraz łatwiej firmę, która sfinansuje to przedsięwzięcie.

Z samochodu na łódź

Widocznie nie znalazł. W połowie listopada 1990 roku otrzymałem od niego list. Jurek wymyślił nową, wariacką eskapadę. Zamierza przepłynąć wewnątrzdrogami wodnymi od Morza Beauforta do Zatoki Meksykańskiej. Jest to najdłuższy tego rodzaju szlak na świecie. A więc znów będzie wpis do „Guinness Book of Records”?

Przygotowania do wyprawy są zaawansowane. Piszą o niej gazety w Montrealu. Był też artykuł na pierwszej stronie „The Edmonton Journal”. Jurek Adamuszek zaproszony został do tego miasta na konferencję geografów kanadyjskich. „Geographer Yurek Adamuszek is a persistent man” – tak go tutaj rekomendują. „Persistent” znaczy uparty. Łódź będzie wyposażona w silnik o mocy 15 KM. Transkontynentalny spływ obejmie baseny sześciu wielkich rzek – Mackenzie, Churchill, Nelson, Albany, Świętego Wawrzyńca i Missisipi. Po drodze napotka także jezioro Wollaston i Wielkie Jezioro Niewolnicze. Jurek chce wystartować na początku lipca 1991 roku i zakończyć podróż w środku października.

Łódź będzie gumowa. Sądzę, że chodzi o rodzaj pontonu. Wkrótce dowiemy się szczegółów. LOT zafundował Jurkowi podróż do Polski. Wybiera się do siostry Małgorzaty Adamuszek-Szczerek, zamieszkałej w Radomiu. Sponsorem jego wodnej wyprawy będzie tym razem bogata linia lotnicza Air Canada.

W tamtej, historycznej już podróży samochodem przez obie Ameryki, znak LOT-u na karoserii cadillaca „Elegance 1979” wzbudził zainteresowanie w... Kolumbii. Najpierw usłyszał klakson, potem zobaczył wyprzedzający go wóz z rejestracją amerykańskiego stanu Teksas. Wyprzedził go jakiś facet, okazało się kajakarz i wrzasnął: „Jeśli jesteś Polakiem, musisz znać Jurka Majcherczyka!”.

— I znałeś? – przerwałem jego opowieść.

— Oczywiście, on też trafił do Księgi Rekordów Guinnessa. A ty go również znasz?

I ja znam. Ale o nim będzie następna opowieść.

Tracąc siły z gorącą, nagle ocknął się w bardzo zimnej wodzie. Stał się rybą. Ogon, tułów, płetwy – wszystko miał rybnie. Tylko głowa była własna i nawet już nie bolała. Popłynął w przyluszanym, podwodnym mroku i chłódzie, i myślał o tym, że już na zawsze zostanie rybą, że nigdy więcej nie wróci. Nie wróć – powtarzał sobie – lepiej być rybą, lepiej być rybą. – Czyngiz Ajmatow, „Biały statek”.

Rzeki nie było. Była wana. I woda była. Zimna, chlupocząca z szeroko otwartego kranu.

Czy ta woda stała się dla niego własną, bezpieczną rzeką? Rzeką z podwodnym mrokiem i podwodnym chłodem?

Czy na pewno pomyślał, że lepiej na zawsze być rybą?

A może wcale nie chciał być rybą? Może tylko pomyślał, że jeśli położy się obok ryby, jeszcze trzepoczącej na dnie wanny i napełni wannę wodą na nowo, to rybnie skrzela zadrzą oddechem życia, zafalują płetwy?

Nie zabijaj jej! Nie zabijaj!

Dozorczyni mówi, że to jego: nie zabijaj! usłyszała aż na czwartym piętrze. Akurat myła schody. Najwyższy czas, przecież za dwa dni wilia. Zaraz potem, mówi, rozległ się krzyk jego matki. Właściwie nie tyle krzyk, co wrzask. Musiała okropnie się wnerwić, bo wrzeszczała i wrzeszczała, i ciągle tylko tak: Boże, nie wytrzymam i: Boże, duren! i: Boże, histeryk!

On już za to więcej nie krzyknął. Więcej ani razu: nie zabijaj.

Potem zaraz rozległo się wściekle trzaśnięcie drzwi. Aż echem załomotało po całej klatce. Od czwartego piętra do parteru. Tupot obcasów po schodach taki, jakby ktoś gonili. I zaraz wycie silnika przed blokiem. Ona zawsze, dodaje dozorczyni, jeździ szybko. Ale nigdy aż tak. Strasznie się na niego zezłościła.

Arek z Kołosem widzieli rajdowy odjazd toyoty. Ślisko, opony zerwały przyczepność. Toyota leciała prosto na drzewo. Przeszła od pnia na milimetry. Szkoda, wydycha Kołos, że przeszła. Arek też powtarza, że szkoda.

Nie cierpią matki Damiana. Damiana również nie cierpią.

Cała klasa nie cierpią Damiana.

Oni, Arek z Kołosem, poznali go najpierw. Jak zwykle bawili się koło garaży, gdy pod blok podjechał wóz meblowy i lśniący granatem toyota. O rany, ale wózek! jęknął Kołos i pognął oglądać to japońskie чудо. Arek kopnął piłkę i też pognął. Z toyoty wysiadła pani w białym kostiumie i białym kapeluszu. Dyrgowała ostrym głosem: „Proszę uważać, panowie! Ostrożniej, panowie!” Spozobiegła chłopków. A wy tu czego? – i zaraz zawołała: Damianku! Damianku! wyjdź z wozu, popilnuj tu tych, bo ja muszę z paniami na piętro!

I co sobie taka wyobraża? Kołos jedenaście lat żyje między tymi blokami, a nikt go jeszcze do tej pory aż tak nie obraził. Wszyscy go stąd znają. Wiedzą, że jest w porządku. Ma swoich stałych klientów, którym robi codziennie zakupy. Mleko, pieczywko, cukier, i co kto sobie zażyczy. Samochody też myje i nigdy żadnych zażaleń pod względem jakości wykonanej usługi. Pani mecenas spod siódemki raz mu nawet dała pół melona w jednym papierku, nie obawiając się, że cokolwiek skreśli przy reszcie, albo powie, że zgubił. A pani mecenas jeździ mazdą, a nie jakąś marną toyotą.

Więc Kołos, wzburzony, trącił Arkę: Nie tu po nas. To zwykłe pacany. Spadamy.

Lecz Arek, zamiast spaść, zapatrzył się w bajernie kolorowe tenisówki Damiana. Takie by mieć, to by było to! Nad tenisówkami dżins też taki, że oko wypada, a kurteczka wprost super, cała w niemożliwych bajerach, aż zęby boją. I jeszcze ten zapach! Trochę mączny, trochę słodkawy, zapach zażeranego banana. Bo Damian wylał z toyoty z bananem w jednej garści i reklamował w drugiej. A tego banana wsuwał z taką obojętnością, jakby to był zwykły ogórek małosolny. Żesz, cholera. Zamrugnął powiekami, poczerwieniał jak burak, rozejrzał się dokoła raz i drugi, zobaczył, że matka zniknęła z horyzontu, podsunął reklamówkę: Eee... poczujcie się... Rany, a ta reklama

Kołos, wykrzywia się z odrazą.

Jakby na jej Damiana oczekiwala jaskinia pełna ryczących lwów, dodaje Arek.

Więc i Damian miał złe wejście.

Klasa żyła, ilość uczniów parzysta. Nie było dla Damiana „pary”. Posadziłam samego, mówi wychowawczyni.

W kilka dni po przyjściu Damiana przypowiadano, że będzie przyjmować wpłaty na SKO. Najwięcej w klasie na SKO miała dotąd Agnieszka: całe sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Najmniej Kołos. Kołos mógłby mieć dwa razy tyle, co Agnieszka, gdyby na SKO wpłacał wszystko, co zarobi. Bo Kołos... Arek urywa, zmieszany patrzy na Kołosa. Kołos

wyciskania, a on ani piśnie? Chłopaki, trzeba powtórzyć numer!

To powtarzaliśmy. Nagle Agnieszka zapiszczała: Kołos! twoje ręce! Żesz, cholera! Faktycznie, ohyda: ubabrały się pokrwawionymi gilaми.

Przestraszyliśmy się. Za dużo tej krwi. A on stał przy ścianie, jakiś taki rozplaszczony. Nos już mu opuchł, te gile z krwią wszędzie, na policzkach i aż za brodą. Ale nie płakał. Ani jednej łzy. Oczy to w ogóle miał zacisnięte. Za to ustami tak ruszał dziwnie. Jakby był przedświątecznym karpiem. Gdy się wodę z wanny wypuścił, to karp też tak rusza pyskiem, coraz słabiej i słabiej, aż przestaje.

Nie. Nie było go nam żal.

tym, żeby ćwiczyć pamięć? Ćwicz się na drabinkach albo na równoważni. Różne rzeczy się ćwiczy, fakt, ale ten tu zaszuwa naszej pani takie głodne kawalki, że i koń by się uśmieł.

Masz mnie za idiotkę? – krzyczy pani. – Ty jesteś arogancki, beczelny kłamca!

Wtedy Damian, becząc, woła, że przysięga na wszystko, że nie kłamie! Nawet na tatustasia może przysięgać, że prawdziwa z tą pamięcią!

Magda roześmiała się głośno: Na jakiego tatustasia, ty kłamczuchu? Przecież ty nie masz żadnego!

Zoska też w śmiech. On naprawdę, proszę pani, kłamie! Niech pani zapyta panią listonoszkę! Pani listonoszka mówi, że różne pisma i listy nosi pod siódmą, ale ani razu żadnych alimentów nie przyniosła!

Wtedy Damian zamilkł. Przestał becząć. Tylko znowu jak karp, któremu wypuszczono z wanny całą wodę, mówi Arek, opuszcza głowę.

Zobaczyłam, mówi wychowawczyni, ten trzepoczący się ruch warg Damiana. Trzepotały mu, każda oddzielnie, innym rytmem. Jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już nie mógł, nie miał siły. Nigdy, jak żyje, nie widziałam podobnego aktu rozpacz. Krzyknęłam do Magdy, do Zoski: Cicho! Ma być cicho, w tej chwili cicho, ani słowa więcej, krzychałam. Jakbym chciała tym krzykiem zagłuszyć swój własny, w sumieniu. Trzy miesiące w mojej klasie, ze mną, u mnie, a ja?, co ja jemu poza niechęcią zaproponowałam? Co o nim wiem? Co poza tym, że na drugie śniadanie przynosi banany i bułeczki z szynką albo polewając? Damian, dziecko, powiedziałam do jego trzepoczących się warg. Dziecko, ja ci wierzę, ja ci już wierzę.

Ale za późno powiedziałam do niego: dziecko. Bo to był ostatni dzień nauki przed świętami. Zaczęły się ferie, mówi wychowawczyni. Unosi rękę. Dotyka swoich warg. Nie minęło nawet i dziesięć minut, a nadjechała, znowu rajdowo, ale tym razem bez poślizgów. Zaparkowała, wysiadła, zamknęła toyotę, sprawdziła, czy zamknęła, weszła na klatkę, mówi Kołos.

I potem zaraz, za chwilę, taki krzyk, mówi Arek, nie podnosi głowy. To popatrzyliśmy po sobie, obśmieliśmy się najpierw. Przyszło nam do głowy, że krzyknęła tak dziko dlatego, bo ktoś jej w międzyczasie obrobił chałupę. Ale kto? Niemożliwe,

żeby obrobił. Nikogo obcego nie przyuważyliśmy, no i moja stara tam na klatce szaleje przedświątecznie, i Damian w domu.

Krzyknęła tak, że aż mi szczołka wypadła z ręki. Jezu, myślę, a co jej tam się stało? Upiora zobaczyła, ducha w biały dzień? mówi dozorczyni. Zeszłam zobaczyć. Pod drzwiami w porządku. Za drzwiami cicho. Chociaż nie, jakiś dziwny dźwięk. Woda? Woda płynie, szumi? Głupie, skąd by woda? Zadzwoń! Nikt nie podchodzi do drzwi. Ani Damian, ani ona. Jakby tam nikogo nie było. I ta woda... przecież słyszę ją, jak szumi. Załomotałam pięścią. I znowu nic, nikt. Kłamała szarpie. Drzwi się otwierają: woda płynie, rozlewa się po holu.

Erka skreśliła z wyciem sygnału, pulsując światłem prosto w naszą blokową uliczkę. Ciekawe, do kogo? A tu wypada moja stara, blada jak śmierć, macha rękami po wariacku do tych z Erki: Tutaj! Tutaj! Szybcieli!

Ale jeszcze i wtedy nie wiedzieliśmy, że to chodzi o Damiana, mówi Arek. Głowę wciąż trzyma opuszczoną.

Musiał, mówi dozorczyni, nachylić się nad wanną. Do tego świętego karpia. Może go chciał palcem szturchnąć albo co innego? Pochylił się, poślizgnął, zachłysnął. Tam u nich podłoga w łazience śliska. Zładnej terakoty, złoistej jak piaseczek rzeczny.

Miał fart. No nie, Arek, że miał? Bo gdyby jego matka nie wróciła sprawdzić, czy zamknęła drzwi do chałupy, to on na zawsze by jak ten karp.

Arek jednak tym razem nie odpowiada. Milczy.

Co ci, Arek? – pyta Kołos.

A jeśli on, mówi wolno Arek, nie podnosi głowy, wcale się nie poślizgnął?

Ty chyba głupi Arek! – wnerwia się Kołos, spluwa raz po raz. Wszyscy mówią, że się poślizgnął! Poślizgnął się i wpadł. Tak było. Inaczej nie mogło być!

Ale Arek nie odpowiada.

Żesz, Arek! – krzyczy Kołos, bo ci dowale! Powiedz, że tak musiało być! Powiedz, że inaczej być nie mogło!

Ale Arek nie odpowiada.

Żesz, Arek! – zobaczysz, że ci naprawdę dowale! Tak musiało być! Przecież posłaliśmy pomagać mojej starej zbierać wodę! Widzieliśmy jego pokój! Pokój jak „Pewex”, i klocki Lego w nim miał, i roboty miał, i samochody. Telewizorek własny, Sony, miał z pilotem. I komputer miał własny. Wszystko miał. Wszystko, wszystko!

Mamusia zabroniła kogokolwiek wpuszczać...

Głos ryby

EWA OSTROWSKA

mowa wypchana bananami niczym kartoflami! Człowiek jednak ma swój honor, więc człowiek przelknął ślinę i odparł: Takiego świństwa nie jadam. Damianowi uszy sczerwieniały. Opuścił głowę. Bąknął: A my się tu z mamusią wprowadzamy...

To chyba widać, nie, pacanie?, rzucił pogardliwie Kołos. Na tym się jednak ich wzajemna konwersacja skończyła bo: Damianku! proszę do mnie!! Natychmiast! Tyle razy ostrzegałam cię, żebyś nie rozmawiał z pierwszymi lepszymi!

W dwa dni później matka przyprowadziła Damiana do nowej szkoły.

Miała złe wejście.

Rozmawiała ze mną o swoim synu, moim nowym uczniu, mówi wychowawczyni. Stał się na korytarzu przed pracownią, wokoło tłoczyły się ciekawskie dzieci, a mnie dławilo w gardle. Bo obliczaliśmy: pantofle nie mniej niż za sześćset tysięcy. Kostium, chyba z wełnianej żorżety, też za tyle, albo i za więcej. Bluzka jedwabna, ile taka bluzka, ile? Kapeluszek. Rękawiczki. Torebka... Dobry Boże, identyczną widziałam za pół miliona. Na Piotrkowskiej. Szukaliśmy z mężem dla syna trampka. Wybór olśniewający, lecz te ceny! To szukaliśmy, żeby chociaż o pięć tysięcy gdzieś tańsze... Pół miliona za torebkę. Za głupią, idiotyczną cholerną torebkę. Pół miliona. To jest jedna trzecia mojej pensji. Dławilo mnie: łańcuch złoty na szyi. Kolczyki... czy to błyszczące w tych kolczykach to brylanty? Za ile te brylanty? Za ile te kolczyki? Obliczaliśmy: ma chyba tyle lat, co ja, i ma aż tyle, a ja, a ja co mam? Po dwunastu latach pracy zdzieram nogi, żeby synowi kupić najtańsze obuwie. Za to, co ona nosi na sobie, mogłabym ze swoją rodziną, mężem nauczycielem i dwójkiem dzieci przeżyć spokojnie ze trzy miesiące. Albo chociaż kupić kolorowy telewizor. Jej syn miał na nogach takie kolorowe, zagrniczne trampki, swemu takich nie kupiłam, nie stać mnie. I to moje dławienie w gardle stało się wrogiem kamieniem. Chętnie bym nim uderzyła. W nią. I w tego jej syna też. I w takich jak ona: w tych wszystkich, co toyotami, volvami. Zapytałam: czemu zapiszała pani Damiana do naszej szkoły? Chyba stać panią na prywatną? Jej uśmiech był pobłażliwy: prowadzą dużą firmę, a biznes zabiera mnóstwo czasu. Nie mam go, aby Damiana odwozić i przywozić. A tu ma szkołę pod bokiem.

Obcałowała swego peweksowskiego pacana czule i powiedziała: Idź, Damianku, do klasy, i bądź dzielny – mówi

wzrusza ramionami, spluwa, ale bez śliny, na sucho, mówi: i tak wszyscy wiedzą, mój stary to pijaczek, tego się czapką nie przykryje, nie? A człowiek jest najstarszy i ma jakie takie poczucie odpowiedzialności, to tej swojej starej chce pomóc, nie?

Kołos sam siebie oplaca. Budę, ubezpieczenie, książki do budy, zeszyty, itepe. Teraz na spodnie składa, mówi Arek.

No dobra, Arek zjeżdż ze mnie, mówi Kołos i znowu strzyka śliną, ale już nie na sucho. Czerwienieje, mówi: przepaszam. Chrzaka. Znowu mówi: przepaszam, nie chciałem na but. Znowu chrzaka. I wybucha, wnerwiony: o kim mamy opowiadać? O mnie, czy o Damianie, żesz?

Więc Arek wraca do tematu Damiana. Mówi: Wszyscy popłacali, a Damian ani drgnie w tej swojej osłej ławce. A tobie mamusia na SKO nie dała? – pyta pani. Damian wstaje, bąka coś pod nosem. Mamusia nie wygląda na biedną, nawet Kłosowski wpłacił dwieście złotych, mówi pani. To my w śmiech. Wtedy Damian mówi, że dała. Więc wpłacił, denerwuje się pani. Wtedy Damian odgina kurteczkę i nagle wszyscy widzą, że się sytuje z agrałką. Bo wewnętrzna kieszeń przy kurteczce ma zapiętą na agrałkę. Śmiech ustaje. Patrzymy, jak on się z tą agrałką sytuje. Ręce mu się trzęsą, a czerwony taki, że z uszu mu niemal krew tryska. Wreszcie udało się, wyciąga papiererek. Wplacasz na SKO dwieście tysięcy? – zdumiała się pani. A może nie tyle się zdumiała, co zezłościła, bo zaraz powiedziała podniesionym, ostrym głosem: i nawet agrałką zostaje ubezpieczony, żeby cię nie okradli! Powiedz mamusi, że po pierwsze, tu jest SKO, a nie bank. A po drugie, że w naszej klasie nie ma złodziei!

To na przerwie, ledwie wypadliśmy na korytarz, przycisnęliśmy pacana do ściany. Na leżało mu się, nie? – mówi Kołos.

I wszyscy po kolei wyciskali mu syfona. Każdy wyciskając ile sił, mówili: powiedz mamusi, niech ci wynajmie goryli. Albo: powiedz mamusi, żeby cię przysyłała do budy z obstawą. A dziewczyny nie wyciskały syfona. Dziewczyny piszczwały, jakby je kto łaskotał pod pachami, takie kretyńki, mówi Arek.

Żeby się bronił, albo co? Ale on nie. Ani nie odpychał, ani nie kopał po piszczelach, ani nie gryzł. Nie szarpał się ani razu. Nie jęknął nawet. A przecież to boli jak cholera, taki syfon. Jeden boli, to aż tyle jak musi boleć? Żesz go! My zaspaliśmy się, popocili od tego

Może by i było, ale nie mogło być! No nie, Arek, nie mogło? Bo zaraz potem, jak przyszedł do budy, to my z Arkim chcieliśmy wpaść do niego, mówi Kołos. Kopaliśmy piłę między garażami i zobaczyliśmy, że sterczy w oknie. Ładna pogoda, ciepło, tam u niego okno zamknięte, on z nosem przy szybie. Mógłby wyjść do nas, pokopać z nami piłę, nie? Więc pomachał mi mu, hej, Damian! tutaj! tutaj!, a on nic. Patrzy, ale nie widzi. Pomachał mi znowu, a on dalej nic.

Może zachorował i dlatego okno zan knięte?

To mój imy sobie: wpadnięmy odwiedzić, nie? Pobawimy się z nim, na pewno ma jakieś bajerne zabawki, nie?, mówi Kołos.

Może nawet i komputer własny ma?, mówi Arek.

Klocki Lego to na mur ma, przecież on i ta jego pacanka, matka, jakby „Pewex” obrabowali, ale poprzebierani.

To pobiegliśmy.

Lecz on nawet drzwi nie uchylił. Mamusia zabroniła kogokolwiek wpuszczać, powiedział.

To znaczy, że my, jego kole-dzy z budy, z klasy, jesteśmy „ktokolwiek”. Żesz go! Jak tak, to tak?, mówi Kołos. Spluwa. I już nie przepasza.

Zresztą, to kujon, mówi Arek. Kujon niewyobrażalny. Wykuty na każdą lekcję. Nawet na matkę. Pewno on się tak w tym oknie kuł. Bo codziennie go tam można było zobaczyć. Siedział na parape-cie, nos na szybie. Godzinami. Znikał, gdy toyota jego matki podjechała pod blok.

Ma same piątki. Ohyda, nie?, mówi Kołos.

Ale raz o mało gola nie dostał. Z klasówki, z polaka. Damian, zawołała pani, przepisałeś z książki! Poczerwieniał, lecz mówi, że nie przepisał. To pani otworzyła książkę, przeczytała. Otworzyła zeszyt Damiana, przeczytała. Matko, co do słówka prawie! Jasne, że ściał. Ale jak mu się aż tak udało pościagać, żeby od deski do deski?

Klamiesz beczelnie! krzyczy pani. W żywe oczy jeszcze kłamiesz!

A on, że nie, nie kłamie.

Ach, tak?, krzyczy pani, wali książką o stół, zeszytem wali, jesteś beczelny! Dwója! Dwója!

Damian zaczyna becząć, becząc mówi, że nie jest beczelny, naprawdę, i że nie kłamie. I że to wszystko przez to, że ćwiczy pamięć.

Panią zatyka. Co ty ćwiczysz? Powtórz! powtórz!, krzyczy pani.

Pamięć, chlipie Damian. A my pękamy ze śmiechu. Czy słyszał ktoś kiedykolwiek o

Łódź 1939-1945

do nabycia w Antykwariacie-Księgarni „Nike”
Łódź, ul. A. Struga 3
tel. 32 – 32 – 58
Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „ODGŁOSY”

HURTOWNIA ART. PAPIERNICZYCH BIUROWYCH

„POL-RUS” Spółka z o.o.

Łódź, ul. Tkacka 9A

tel. 78-43-64, telex: 886622

1. Papier ksero kolor 500 ark. import – 50.000 zł (A4, A3, A2, A1)
2. Papier ksero 500 ark. polski – 33.000 zł, import – 39.000 zł
3. Papier maszynowy 500 ark. polski – 23.000, imp. – 29.000 zł
4. Papier offset maszynowy A1, A2, A3, A4, papier satynowany, kredowany 500 ark. imp. – 28.000 zł.
5. Papier kreda 60 g/m kw. do 400 g/m kw. import, cena 1 kg 9-15 tys. zł.
6. Bristol, chromokarton B0, A1 imp. – 3.700 zł arkusz
7. Kalka techniczna syntetyczna i pergaminowa, import, arkusze, role.
8. Papier telefax – import, wszystkie rodzaje, ceny od 36.000 zł.
9. Papier telex – wszystkie rodzaje, ceny od 3.200 zł za rolkę
10. Papier komputerowy – składanka, rolki – wszystkie rodzaje.
11. Taśma Dalton, taśma do kas komp. – wszystkie typy.
12. Taśmy do maszyn, korektorki do maszynopisu „Tipex” imp.
13. Etykiety towarowe, komputerowe i zwykłe, wszystkie rodzaje, ceny najniższe w kraju.
14. Papier i folie samoprzylepne, 10 kolorów, arkusze i role.
15. Artykuły biurowe – pióra, długopisy, segregatory, koperty.
16. Papier czerpany – import A2, A4, koperty

Towar dostarczamy bezpłatnie. Płatne czekiem i gotówką, przelewem – tylko urzędy administracji państwowej.

PECKO TOUR

zaprasza do korzystania z bogatej oferty:

- wczasy dla narciarzy w kraju i za granicą
- zimowiska dla dzieci i młodzieży w kraju
- wize (wyjazdy indyw.) do krajów: Hiszpania, Włochy, Niemcy, Izrael.
- pośrednictwo paszportowe
- sprzedaż: mapy, bilety lotnicze, kalendarze ścienne,

ZAPRASZAMY!

Łódź, ul. Kilińskiego 59/63 (przy hotelu „Centrum”)

tel. 33-21-51 tlx 884115

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE KARIMEX IHK

90-446 Łódź Al. Kościuszki 132 tel. 37 42 11
fax. 36 42 33
tlx. 88 45 09

OFERUJE:

MIKROPROCESOROWY SYSTEM STEROWANIA KX-600

Podstawowe zalety sterownika KX-600 to:

- modułowa struktura sprzętowa
- 512 wejść/wyjść obiektowych
- 64 liczniki i 64 czasy programowalne
- łatwość tworzenia oprogramowania użytkowego dzięki językowi programowania zorientowanemu na problemy sterowania binarnego
- wyposażenie w moduł transmisji zawierający łącza CENTRONICS oraz RS-232C pozwalający na współpracę systemu KX-600 z dowolnym systemem nadrzędnym oraz urządzeniami peryferyjnymi np. drukarka
- bogaty zestaw modułów wejść i wyjść dwustanowych pozwalających na optymalne sprzęgnięcie sterownika z dowolnym obiektem sterowanym.

MIKROPROCESOROWY PROGRAMATOR KROKOWY MP-8 służący do sterowania maszyn pracujących w stałym cyklu roboczym, którego podstawowe zalety to:

- możliwość zapamiętania 4 programów po 99 kroków
- możliwość deklaracji czasu trwania kroku od 1 do 99 s
- 8 wyjść przełącznikowych
- 1 wejście sterujące realizacja kroków warunkowych

MIKROPROCESOROWY LICZNIK IMPULSÓW CNTR-1 przeznaczony do zadawania i zliczania dowolnych zdarzeń. Wyposażenie:

- 1 lub 2 wejścia zliczające impulsy
- programowa eliminacja drgań styków
- możliwość zliczania rewersyjnego
- możliwość sterowania napędem maszyny przez wyjście przekazykujące

Ponadto PZ Karimex oferuje regulatory temperatury i regulatory poziomu cieczy o uniwersalnych parametrach użytkowych.

„Moim celem jest musical”

Rozmowa z aktorem i reżyserem a obecnie dyrektorem Teatru Muzycznego w Łodzi – ZBIGNIEWEM CZESKIM.

– Czy mógłby pan przybliżyć naszym czytelnikom sytuację swego teatru?

– Pracę w teatrze objąłem w marcu, kiedy to Teatr Muzyczny znajdował się w trudnej sytuacji ekonomicznej spowodowanej przede wszystkim tym, że dłuższy czas nie było wiadomo komu podlegamy. Staliśmy przed faktem realizacji nowych przedsięwzięć praktycznie bez pieniędzy. Dopiero w listopadzie spawa uległa wyjaśnieniu i dowiedzieliśmy się, że przeszliśmy pod zarządek wojewody.

– W którym kierunku ma pan zamiar pokierować pracą teatru?

– Postanowiłem zdecydowanie uwspółcześnić repertuar. Szczególnie interesuje mnie musical, który przecież na całym świecie zdobył sobie niebywałą popularność i przynosi spore zyski. Nie znaczy to, że nie doceniam repertuaru klasycznego. Jednak ze względów finansowych będzie on musiał zejść na dalszy plan, gdyż wymaga wielkiego pietyzmu, a co za tym idzie wielkiej wystawy i dużych nakładów. Nie zaniedbamy także młodych widzów, przecież to nasza przyszłość. Obecnie mamy dla nich trzy bajki: „Śpiącą królową”, „Królową śniegu” i „Pinokia”, a w planach nowe inscenizacje: baśnie i musicale.

– Swoją działalność ukoronował pan niedawno dwoma premierami...

– Była to „Gi Gi”, musical F. Loewego i A. Lerner, którego premiera odbyła się w listopadzie; a także sylwestrowa premiera widowiska muzycznego, napisa-

nego specjalnie na zamówienie przez pana Wacława Pankę, „Kiepusa story”, które jest sfabularyzowaną biografią śpiewaka od lat najwcześniejszych aż do przyjazdu do Polski w 1958 roku, opartą na dokumentach i listach.

– Jakże są pana dalsze plany?

– Następną premierą będzie w marcu inscenizacja „Jedzie rewizor” według „Rewizora z Petersburga” M. Gogola, której autorami są W. Łebkowski – libretto i J. Tomaszewski – muzyka; później „Ziemia obiecana” według Wł. Reymonta, która prawdopodobnie zakończy ten sezon – autorami libretta i muzyki są R. Czuba-czyński i A. Kopff. Natomiast już w przyszłym sezonie przymierzamy się do „Orfeusza w piekle” J. Offenbacha.

– Co czeka pana i pański zespół w najbliższym czasie?

– Ósmego stycznia ruszamy do Danii z „Wesołą wdówką” przygotowaną w języku niemieckim. Od tego wyjazdu, który jest wyjazdem czysto promocyjnym, jedynie za diety, zależy podpisanie kontraktów na terenie RFN, Francji i Holandii. Podpisaliśmy także umowę o wymianie artystycznej z teatrem muzycznym w Kijowie.

– W jaki sposób teatr obecnie jest finansowany?

– Jesteśmy dotowani przez wojewodę z funduszy ministerstwa, a także szukamy sponsorów, już nawet pojawiły się takie firmy i pomagają nam w realizacjach.

– Jakże to firmy?

– Głównym sponsorem

jest firma Elcopp, ale także Frenoplast, Poligrafus oraz Młodzieżowa Agencja Kulturalna.

– Czy szukacie gdzieś oszczędności poza tym, że wystawiacie bardziej opłacalne musicale, nie potrzebujące aż takich środków materialnych jak klasyczna operetka?

– Teatr przeszedł reorganizację stylu pracy i struktury. Zmniejszyliśmy liczbę etatów, odmłodziliśmy zespół. Mamy sześciu nowych solistów, a także odmładzamy balet.

– Jeżeli mówimy już o młodych, nowych pracowników, to czy pański teatr posiada jakieś zaplecze artystyczne, z którego mógłby pan czerpać?

– Właściwie takie zaplecze nie istnieje. Szkolnictwo nie nadąża za potrzebami współczesnego teatru, nie kształci aktorów wokalnie i ruchowo, specjalnie dla teatru muzycznego, kształci przede wszystkim aktorów dramatycznych, a oni nie tańczą i nie śpiewają. W takim teatrze jak ten najważniejsze i najtrudniejsze zarazem jest połączenie trzech sztuk: tańca, śpiewu i umiejętności podania tekstu. Z konieczności opieramy się na młodzieży kończącej łódzką szkołę filmową oraz Wydział Wokalno-Aktorski w Akademii Muzycznej.

– Które z podjętych przez siebie przedsięwzięć uważa pan za najtrudniejsze?

– Zdecydowanie jest to „Jedzie rewizor” według Gogola, będzie to prapremiera szalenie trudna aktor-ko, ale w pełni udźwignięta przez panów A. Koziołka i Gajdę oraz dwóch absolwentów PWSFTviT panów P. Siedleckiego i E. Mirosza.

– Które z przedstawień dało panu największą satysfakcję?

– Chyba „Kiepusa story”, po którego premierze przez kilkanaście minut trwały owacje na stojąco, muszę tu podkreślić wielką kreację Ireneusza Jakubowskiego w głównej roli.

– Zmienia pan także jak widzę graficzną oprawę widowisk...

– Zmieniliśmy szatę graficzną. Zamiast typowych programów wydajemy teraz piękne, kolorowe foldery, także afisze i plakaty. Pracuje nad tym nasz scenograf pani Anna Ekiert-Bo-browska.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
ANNA



OFERUJE

MASZYNY DO LICZENIA
I SORTOWANIA BANKNOTÓW –
ELEKTRONICZNE MASZYNY
DO PISANIA –
KALKULATORY
14, 16 POZYCYJNE –
KALKULATORY PERSONALNE
O POJEMNOŚCI 64 KB –
KSEROKOPIARKI 1010, 1520 –
TELEFAXY –
TESTERY WALUT –

firmy DE LA RUE (W. Bryt.)

firmy OLIVETTI (Włochy)

firmy CASIO (Japonia)

firmy CASIO (Japonia)

firmy CANON (Japonia)

firmy CANON (Japonia)

firmy CASHCAN (USA)

SPRZĘT DOSTARCZA PRZEDSTAWICIEL DE LA RUE I OLIVETTI
NA POLSKĘ – FIRMA KTS ELEKTRONIC GmbH

CZĘSTOCHOWA, Al. N. M. Panny 64

tel. 420-23, 465-20, fax. 465-20, tlx. 037688

ŁÓDŹ, Zamenhofska 5

tel. 32-71-23, 32-70-90, fax. 32-70-90, tlx. 886315

BIELSKO-BIAŁA, ul. 1 Maja 8

tel. 236-26, tlx. 035789

Lekcja psychiatrii

Dokończenie ze str. 1

bo jak na przykład wytłumaczyć fakt, że pobity pięściami czy zrzucany ze schodów chłopiec nie miał żadnych śladów? Często dzieci celowo prowokowały nauczyciela, robiły mu na złość. W pewnym sensie on był ich ofiarą. Kiedyś klasa szosta na moje polecenie, by wrócić do klasy, bo lekcja angielskiego się odbędzie, zareagowała dziwnie: „Jak to, po tym wszystkim lekcja się odbędzie?” Odniosłam wrażenie, że dzieci celowo prowokowały nauczyciela, żeby nie było lekcji. To trochę tak, jak z tymi telefonami o bombach.

Grzegorz z szóstej klasy nie był świadkiem kolejnego wydarzenia, ale słyszał o nim od kolegów.

Opowiadali, że pan od angielskiego złapał jakiegoś chłopaka za włosy i jego głowę wybił szymbę, a wcześniej pobit go pięściami. My mamy w oknach podwoje szyby, więc musiał go nieźle rąbnąć, skoro szyby poszły.

To samo wydarzenie opisuje naoczny świadek, Paweł z klasy piątej:

Rozmawiałem z kolegą. W tym czasie jakiś chłopiec z innej klasy rzucił w pana od angielskiego szyszką. Pan rozejrzał się, ale tego chłopca już nie było, więc on myślał, że to zrobił chłopak siedzący na meblościance, podszedł do niego i uderzył go w twarz.

— Pięścią?
— Nie.
— Na pewno?
— Na pewno, przecież widziałem to na własne oczy. Potem pan, cały czas wściekły, zaczął kopać i szarpać tego siedzącego na meblościance tak, że aż poszła w niej szyba.
(Szyba była na wysokości

siedzenia chłopca, więc nie możliwe było wybić jej głowę). Mimo plotek i przejawów niemiernego pozostaje fakt, że w szkole miały miejsce dramatyczne wydarzenia. Opowiada Grzegorz z szóstej klasy:

— Jak byliśmy niegrzeczni, to pan bił nas po łapach kijem do pokazywania na mapie, aż w końcu ten kij złamał się podczas bicia. To było na oczach całej klasy. Kiedyś koledy powiedzieli panu, że jak jeszcze raz kogoś ruszy, to oni go zlapią po lekcjach. Zresztą oni w ogóle często mu grozili.

Zagrożony nauczyciel w napadzie strachu wyrzucił potem rzeczy uczniów z teczek w poszukiwaniu bomb i innych narzędzi terroru. Koło się zamykało.

— On się naprawdę ich bał — wspomina dyrektorka. Nie radziła sobie z nimi. Nie było sensu dłużej czekać. Napisałam do ZNP i NSZZ „Solidarność” podanie z prośbą o pozwolenie zwolnienia go z pracy. Nawet jeśli nikt nie przychodził do mnie na skargę, ani nie zgłaszał pobicia i tak miały miejsce fakty, które stanowiły zagrożenie dla dzieci. Na przykład podczas lekcji angielskiego uczniowie opuszczali klasę i wychodzili na ulicę albo stawali w otwartych oknach, żeby zdemolować nauczyciela.

NSZZ „Solidarność” długo nie wyrażał zgody, w końcu w obliczu faktów musiał skapitulować. Dnia 22 XI 1990 r. Maurycy Kowalski został zawieszony w czynnościach zawodowych. Po długiej rozmowie z panią dyrektorką złożył podanie o zwolnienie. Wcześniej rada pedagogiczna podpisała wobec niego jednogłośnie wotum nieufności.

— Kilka osób, które złożyły

podpisy — mówi dyrektorka — przyszło do mnie następnego dnia twierdząc, że mają wątpliwości czy dobrze zrobiły. Mówiły: „Mnie przy tym nie było”. Ja sama boję się skrzywdzić tego człowieka. Z ciężkim sercem podejmowałam decyzję. Jedno nie ulega wątpliwości. Zawód nauczyciela jest zawodem bardzo odpowiedzialnym, dlatego konieczne są badania psychiatryczne kandydatów. Nie rozumiem, dlaczego nikt dotąd o tym nie pomyślał?

28 XI 1990 r. rozmawiałam osobnie ze sprawcą tych wszystkich wydarzeń. Na pytanie, jak ocenia swoją pracę w szkole odpard:

— To był bardzo trudny okres przed wyborami. Dzieci urządziły prowokację polityczną, gdyż nie chciały, żeby brał udział w wyborach, a ich bezrobotni rodzice zazdrościli mi, że ja mam pracę, a oni — nie. Postanowili więc mnie wyrzucić z pracy, ale prowokacja się nie udała i wziąłem udział w wyborach. (Dostawny cytatt)

— Czy zamierza pan dalej pracować w szkole?

— Tak, ale nie w tej. Ja nigdy nie wracam w to samo miejsce. Mam już za sobą kilkanaście miejsc pracy. Właśnie staram się o pracę w nowej szkole. Jak na razie mam kilka propozycji — nauczycieli wciąż brakuje!

MAGDALENA GROCHOWALSKA

P.S. Wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione.

Dokończenie ze str. 9

zienia zmusiła ją do wyjścia. Adam B. też opuścił dom.

Żona zamknęła drzwi na zatrask i kiedy wrócił mąż — nie wpuściła go do domu. Wokół domostwa gromadzili się sąsiedzi. Ich próby załagodzenia konfliktu były nieskuteczne. Adam B. zaczął odrywać ramę okienną, a potem usiłował wejść przez okno. Żona w tym czasie uzbrowiła się w nóż kuchenny i stojąc wewnątrz mieszkania na wersale — zadawała ciosy. Policjanci, wezwani przez kuratorkę rodziny (do niej pobięła babka z małym dzieckiem na rękę) zastali zabójczynię przy liczeniu pieniędzy, wyciągniętych z kieszeni ciężko

schodach, przewrócił, włókł po stopniach i pobit dotkliwie. Wówczas doznała złamania dwóch żeber.

* * *

W styczniu 1990 r. ojciec Zbigniewa W. — Edward C. zaniósł synowi 50 tys. zł. Dała je ze swojej renty jego stara matka, żeby zapobiec wizycie wnuka i kolejnej awanturze z biciem. Kwota 50 tys. była za mała dla Zbigniewa W. Wściekłość wyładował na ojcu: zbił go do utraty przytomności. Po zastawieniu go w takim stanie i pobięciu do babki po więcej pieniędzy. Sąsiedzi słyszeli odgłosy uderzeń, płacz, odgłos upadku, rzęzenie. Potem wszystko ucichło. Okazało się, że pijany

negliżowaną. W negliżu opuściła mieszkanie. W takim stanie policja odwoziła ją ze skweru do domu. Władysław Ł. zjawił się wkrótce. Zbił ją i skopał w okrutny sposób, uduśli i pozostawiwszy zwłoki na podłodze położył się spać...

A oto jeszcze jedna, charakterystyczna sprawa:

Przed sądem oskarżony wyjaśniał „... było tak, że jak mieliśmy więcej pieniędzy, to więcej piliśmy, nie piliśmy trzy tygodnie, potem piliśmy trzy dni, potem znowu nie (...) Ostatnio piliśmy często, bo mieliśmy pieniądze” (dosłowne odnotowanie).

Kiedy dorywczy handel

Grób i więzienie

rannego mężczyzny. Zmarł on w drodze do szpitala.

Wyniki obserwacji psychiatryczno-sądowej, której poddano Alicję B. nie kwestionowały jej zdrowia psychicznego. Jest alkoholizką. W chwili popełnienia zbrodni znajdowała się w stanie zwykłego upojenia alkoholowego (1,55 promille alkoholu we krwi).

SĄ TAKIE NOCE I DNI

... oskarżam Zbigniewa W., pochodzenia robotniczego, elektryka nigdzie nie pracującego, nie karanego, o to, że 12 marca 1990 r. w zamierze pozabawienia życia Z.K. bił ją pięściami po całym ciele, a uderzając co najmniej kilkanaście razy po głowie, spowodował u niej śluzowate wydzieliny, wylewy krwawe pod oponą (...) a w konsekwencji jej zgon.

Nie był to jedyny zarzut. 28-letni Zbigniew W. oskarżony został także o znęcanie się fizyczne i moralne nad ojcem i jego matką oraz o agresywny atak na własną matkę, w wyniku czego doznała ona obrażeń ciała ze złamaniem dwóch żeber.

* * *

77-letnia Bogusława C. mieszkała, wraz ze swym synem Edwardem przy ul. K. pod numerem 115. Jej synowa, żona Edwarda wraz ze swą częścią spójną z matką, zajmowała mieszkanie w pobliżu posesji. Syn Janiny i Edwarda — oskarżony Zbigniew W. mieszkał osobno, ale odwiedzał rodziców i obie babki. W jakim celu?...

W lutym prokuratura otrzymała anonimowy list od lokatorów domu, w którym mieszkał ojciec Zbigniewa W. ze swoją matką:

„Prosimy o pomoc, bo dłużej nie możemy patrzeć na ludzkie cierpienie” (...) W liście opisano gęstą 77-letnią Bogusławę C. i jej syna: „... przychodził do babki i bije ją i ojca, zabiera jej rentę. Nie możemy udzielić jej pomocy, bo wszyscy jesteśmy zastraszeni przez łobuza. Pobił on już dwa razy najbliższych sąsiadów. Śmieje się z nas wszystkich i mówi, że rozprawi się z każdym” (...)

Wszczęto dochodzenie. Policjant w rozmowie z lokatorami dowiedział się, że opisana w liście sytuacja trwa od dwóch lat. Dwa razy wzywano policję, ale rozmowy z synakiem nie dawały efektu. Najbliżsi sąsiedzi Bogusławy C. i jej syna, dzielący z nimi wspólny przedpokój — nierzadko nocowali u innych sąsiadów. Usiłowano ich bronić, ale aktywna agresja Zbigniewa W. paraliżowała ich strachem. Bezradność, niemoc i lek towarzyszyły nocami i dniami mieszkańcom tej posesji. Słyszeli wołania o pomoc, widzieli obrażenia na twarzach starszuszki i jej syna, ale ich bezpośrednia interwencja nie miała żadnych szans.

10 listopada 1989 r. Zbigniew W. odwiedził matkę żądając od niej 50 tys. zł. Nie mogła mu dać takiej sumy. Wrócił po dwóch godzinach i zaatakował matkę. Uciekając dogonił na

Zbigniew W. położył się spać w mieszkaniu ciężko pobitej babki. Znalazła się ona kilka dni później w szpitalu. (Zmarła kilka tygodni później, ale jej zgon — jak autorytatywnie stwierdzono — nie miał związku przyczynowego z pobiciem).

AGRESJA I STRACH

11 marca Zbigniew W. przyszedł późnym wieczorem do matki z żądaniem: „wódki i papierosów”. Pod pretekstem konieczności pożyczania papierosów od sąsiadki — umknęła mu i nie wróciła na noc. On — zniecierpliwiony — oczekiwanie poszedł do ojca. Pokonał drzwi do wspólnego korytarza, ale nie zdołał wyważyć drzwi do mieszkania ojca. Groził mu okaleczeniem. Wystraszony Edward C. zdołał spuścić przez okno portmonetkę z kartką zawierającą prośbę o wezwanie policji. Zbigniew W. krążył przed posesją do 4 rano. Nim przybyli funkcjonariusze policji, dotarł ponownie do mieszkania matki i całą pijacką agresję wyładował na sparaliżowanej babce. Potem zmęczony położył się spać. Tak zastała go matka po powrocie do domu. Pogotowie zabrano ciężko ranną starszuskę. Zmarła po dwóch dniach na skutek pobicia nie odzyskując przytomności.

* * *

Nie ma większego sensu podawanie wyroków sądowych wobec sprawców tych zbrodni. Wszyscy zostali skazani na wiele lat więzienia. To nie jest jednak żadnym rozwiązaniem problemu, mimo że w kołach prawników, oceniających z mocy prawa tego typu zbrodnie powstało powiedzenie o pewnego rodzaju samolikwidacji ognisk zagrożenia: „Jedno do grobu, drugie do więzienia i na razie spokój”.

Nie ma spokoju. Do sądów napływają nowe akty oskarżenia rzeciwko zabójcom sięgającym — po pijanemu — po nóż czy siekiere. Z informacji anatomicznych, który często składa przed sądem opinie po sekcji zwłok ofiar, wynika, że co najmniej 70 procent z nich to osoby, które poniosły śmierć w warunkach upojenia alkoholowego. Ten sam stan dotyczy sprawców zabójstw, co bezspornie wynika z postępowania dowodowego przed sądem.

Wyroki, kary więzienia to objawowe „leczenie” choroby, która toczy znaczną część społeczeństwa i nic nie wskazuje na to, żeby zapobieganie stało się faktem. Kilka milionów obywateli żyje w podkulturze alkoholowej, a co najmniej milion czynnych alkoholików (nie dotyczy to alkoholików-abstynentów) zagraża porządkowi prawnemu i zdrowiu moralnemu rodzin i środowisk.

W drodze do świetlistej demokracji, ku uwielbianemu kapitalizmowi i wyćsknionej Europie — są to kamienie, o które będą się potykać marzenia i zamiary, projekty i ich wykonanie.

P.S. Imiona i inicjały nazwisk

zmienione.

■

Syndrom mundurowego

Dokończenie ze str. 1

mu Markowi S. i 26-letniemu Romanowi P. (oba ze stażem 5 lat) zarzuca się, że posiadali informacje o prowadzonym postępowaniu i nie przyczynili się do wykrycia sprawcy, a tym samym pomagali w uniknięciu odpowiedzialności. Jednym słowem: popiecznictwo.

Kwalifikacja prawna może ulec zmianie. Niezależnie jednak od tego komendant wojewódzkiej policji w Łodzi podjął 9 grudnia decyzję o wydaleniu podejrzanych policjantów ze służby.

W sprawie tej głównie „przeświewała się” policjantów. Oni bowiem ewidentnie naruszyli przepisy prawa, zachowując w tej samowoli konsekwencję do końca. Kim jednak byli uciekający? Dlaczego nie poddali się kontroli drogowej?

Polonez, jak ujawniono w śledztwie, został skradziony przez Dariusza K. (19-latkę, który skutecznie uciekał policjantom przez 37 kilometrów) 13 listopada przy ul. Traktorowej. Przed rokiem młodzian skazany został na 1,5 roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na okres 4 lat. Taka była konsekwencja kradzieży z włamaniem. Z akt Dariusza K.: kawaler, bezdzietny, bez zawodu, pracuje dorywczo, często widywany pod wpływem alkoholu, notowano skargi sąsiadów.

Pozostali: Paweł D. (lat 27), nie pracuje, Piotr M. (lat 18), nie pracuje, Grażyna S. (lat 33), nie pracuje. Jakiśkolwiek zatrudnienie posiada jedynie 33-letnia pokrzywdzona — Bogusława M.

Jedną z osób w toku śledztwa zeznała, że wybierali się polonezem do Zgierza, aby włamać się do pawilonu handlowego.

W bulwersującej łodzińskiej sprawie nasuwa się wiele wątpliwości. Postępowanie karne ujawni zapewne nowe fakty. Najtrudniej jednak odpowiedzieć na pytanie: dlaczego policjanci z wieloletnim stażem w organach ścigania dopuścili się samowoli? Dlaczego strzelali? Zwłaszcza że według przełożonych, cieszyli się dotychczas dobrą opinią.

Ale są to wątpliwości bardziej natury psychologicznej, aniżeli prawnej. Krzysztof Traczyński, lekarz psychiatra i psychoterapeuta z Akademii Medycznej w Łodzi nie badał ich wprawdzie i wydarzenia zna jedynie z opowiadań, ale w nienagannym służby przez 19 lat nie wierzy. Nie wierzy, że wcześniej nie pojawiły się u nich jakies rysy psychopatyczne. Wnioski takie nasuwają jego doświadczenia wyniesione na przykład z kontaktów z żonami policjantów czy wojskowych. Istnieje postawa zwana syndromem mundurowego. I niekoniecznie musi to być policjant czy wojskowy. Może to być równie dobrze kolejarz, innym razem myśliwy strzelający bez uzasadnienia do bezbronnej zwierzyny.

Wśród przyczyn, które mogły wywołać taką reakcję, Krzysztof Traczyński dostrzega kilka czynników psychospołecznych. Choćby taki, jak ogromne po-

czucie bezkarności milicji przez 45 lat komunizmu. Niewykluczone, że zadziałał czynnik psychologiczny, wyrażający się często w powiedzeniu „wreszcie cię draniu dorwałem”. Sam fakt ucieczki poloneza wystarczył zapewne do przekonania, że ci ludzie są winni. I nie ważne, że nie wiadomo „czego winni”, skoro uciekają. Idąc dalej tym przypuszczalnym tokiem rozumowania policjantów: w tej sytuacji mam prawo w „ochronie społeczeństwa” użyć broni...

Dla Krzysztofa Traczyńskiego niepowiadomienie przełożonych o pościgu jest niewytłumaczalne, ale równocześnie wyklucza afekt.

Dr Wojciech Konopacki, psycholog (który również wyraża opinię nie mając związków ze sprawą) ekspozuje fakt podemocjonowania policjantów podczas pościgu.

Najprawdopodobniej zapomnieli o obowiązujących czynnościach służbowych, takich jak na przykład powiadomienie kierownictwa dowodzenia. Powstało pytanie: jak o tych obowiązkach mogli zapomnieć ludzie, którzy w organach ścigania pracują dłużej niż kilka miesięcy...

Dr Konopacki tłumaczy to brakiem rutyny w takich sytuacjach, na co wskazuje fakt, że strzelali do uciekającego samochodu w sposób wybitnie nieumiejętny. Zachowywali się jak policjanci z filmów zachodnich, z tą zasadniczą różnicą, że tamci strzelają skutecznie i jeśli chcą trafić w koło, to trafiają w nie. Nie ma przypadkowych pocisków, które ranią ludzi. Z kolei pobicie i przystawienie pistoletu do głowy, potwierdzające kierowanie się filmowymi stereotypami, psycholog ocenia jako przejaw rozładowania agresji i próby steryoryzacji.

Reakcje „stróży porządku publicznego” dowodzą, że nie byli przygotowani do realizacji zadań policji kryminalnej. W przeszłości potrafili przyłożyć pałą pi-jakowi i obrabować go, ale w nowych jakościowych sytuacjach wykazują bezradność, jak dzieci we mgle. Postępowanie dowiodło, że policjanci strzelali z pocisków „wygospodarowanych” na strzelniczy. Taka kradzież jest możliwa, gdyż nie prowadzi się ewidencji pocisków. Znamy jest również odpowiedź na pytanie, dlaczego radiowoz nie utrzymywały kontaktu z „kierownictwem dowodzenia”. Wyjaśnił to rzecznik prasowy Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi — Adam Antczak, mówiąc, że przy obecnym systemie „to jest możliwe”. Policja łódzka podjęła jednak działania organizacyjne, które zwiększą kontrolę stanowiska kierowania nad funkcjonariuszami pełniącymi służbę w terenie.

Analiza „strzelaniny na ulicy Kolumny” trwa.

BLAŻEJ TORAŃSKI



Do Wrocławia przyjeżdża się, aby obejrzeć Panoramę Racławicką i ogród zoologiczny

Zoo to miejsce głównie dla ludzi

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

— Ja nie należę do kobiet, które śledzą modę. W telewizji ważniejsze są dla mnie zwierzęta niż mój wygląd i uważam, że wystarczy sportowa bluzka, nawet stara — kamera tego nie pokaże. Niektórzy znajomi mówią: mogłabyś o to zadbać. Nie mogłabym, bo nie mam czasu, a poza tym nie należę do tych przebojowych kobiet, które potrafią pierwszy krzyk mody na siebie włożyć i zwracać powszechną uwagę.

Pani Hanna Gucwińska jest osobą pełną uroku i ciepła. Gdy tak sobie rozmawiamy przy pachnącej zamorskim owocem herbatce zastanawiam się przez chwilę czy jest to zwykła cecha ludzi, którzy kochają zwierzęta, czy to właśnie zwierzęta, poprzez ciągły z nimi kontakt, sprawiają, że jest właśnie taka jaka jest.

Pan Antoni Gucwiński także robi wrażenie kogoś, kto jest przyjazny całemu światu. Mówimy o zwierzętach i o ludziach, a wówczas, zdarza się, odnoszę wrażenie, że te pierwsze są mu jednak bliższe.

— W nowoczesnych ogrodach zoologicznych — mówi pan Antoni — pozwalamy zwierzętom wybrać takie miejsce, aby, jeśli tego nie chce, nie było zmuszane do kontaktu z człowiekiem, aby mogło się przed nim schować. Te lata, kiedy zwierzę w ogrodzie zoologicznym było eksponatem, szczęśliwie już minęły. Jest u nas jedno takie pomieszczenie, które ma sto trzydzieści lat, a które zwane było bestiariem. Na początku i na końcu trasy wiodącej przez to pomieszczenie są miejsca, gdzie znajdowały się kije, które można było położyć za opłatą i bić oglądane zwierzęta. Bestia-niedźwiedź, bestia-tygrys, bestia-lew były po to, aby człowiek mógł się nad nimi zniecać. To zwierzę, które teraz żyje u nas piętnaście lat, wówczas — jak wskazują kartoteki — żyło pół roku.

Wrocławski ogród zoologiczny, w którym państwo Gucwińscy pracują i na terenie którego mieszkają, to miejsce, w którym o ludziach można dowiedzieć się prawie tak wiele jak o zwierzętach. Tu, jak mówi pan Antoni, spada powłoka dobrego wychowania, człowiek staje się takim, jakim naprawdę jest. Przede wszystkim ujawniają się ludzkie kompleksy — tu można pokazać, że jesteśmy silniejsi, sprawniejsi, złać jelonka za rogi, podkuczać odpoczywającym zwierzętom. Jednostki z kompleksami odgrywiają się zwykle na kimś słabszym, jeśli nie na członkach rodziny, to chociaż na zwierzętach.

Wiele zjawisk z życia zwierzęcego można odnieść do ludzi. Pani Hanna Gucwińska prosi, żeby jej nie wciągać w filozoficzne rozważania na ten temat, ale nie możemy sobie odmówić małych porównań z dziedziny zwierzęcej i ludzkiej... polityki.

— W świecie zwierzęcym wszystko jest podporządkowane obronie gatunku. Toteż w stadzie panuje porządek, każdy zna swoje obowiązki. Jeżeli dowódca stada małp w momencie zagrożenia małp tych nie obroni, jest natychmiast odwołany z funkcji. Żyje dalej spokojnie, tyle że na obrzeżach stada.

Przywódca stada toczy walkę o władzę, ale nie na śmierć i życie — po prostu musi okazać się silniejszy. Mielimy tu dużego pawiana, który był szefem trzydziestu innych i rządził. Któregoś dnia zobaczyliśmy Bukietę w kacie, a na przód wysunął się inny. Nie wiedzieliśmy co się stało, Bukiet nie był przecież chory. Ale kiedy otworzył pysk, okazało się, że złał mu się kiel i już przeciwnika nie miał czym postraszyć. Dlatego małpa sama oddała władzę.

Zwierzęta wiedzą, kto w stadzie jest mocny, kto słaby — pod względem fizycznym lub

psychicznym. Są zwierzęta, które rodzą się jako przywódcy i te, które woła słuchać innych i mieć święty spokój. Jeżeli się podporządkują, przywódcy dadzą im ochronę.

Przywódcą jest zawsze ten, kto jest potrzebny grupie. U słoń na przykład zawsze szefem stada jest stara, doświadczona samica, która wie jak stado doprowadzić do wody. Kiedy umiera, słońce do zachodu słońca podtrzymują ją trąbami, żeby umierającej nie rozerwały drapieżniki. Po jej śmierci jeszcze długo stoja i trąbią.

Tolerancja?... Pyta mnie pani jak to jest z tym pomalowanym ptakiem, którego stado zadziobuje dlatego, że jest inny. Zwierzęta żyją w grupach, rodzinach. Żyją wychowywane przez inne zwierzęta. Małe zwierzęta dziecko — były do mnie pretensje o to określenie, jak mogę mówić „zwierzęce dziecko”? — uczy się porządku, jaki panuje w stadzie. Istota, która jest w jakiś sposób inna, w mniemaniu zwierząt zagraża grupie i musi z niej bezwzględnie odejść. Pomalowany ptak, nawet jeśli nauczył się porządku stada, jest istotą odmienną, jego dzieci też będą odmiennie i gatunek może zginąć. Ten ptak nie rozumie, że jest inny, nie chce odejść i dlatego bywa zadziobowywany. Nie ma u zwierząt agresji dla agresji. Nietolerancja nie oznacza, że trzeba zabić istotę odmienną, oznacza, że musi ona po prostu odejść.

Z korespondencji, którą państwo Gucwińscy otrzymują, wynika, że boimy się przyznać do braterstwa ze zwierzętami, za wszelką cenę staramy się udowodnić, że jesteśmy istotami wyższymi.

— Przychodzą obraźliwe listy — mówi pani Hanna — na przykład za to, że staramy się o zwierzętach mówić czule. Ludzie czują się urażeni, gdy mówię, że matka zwierzęcia urodziła małe. Nie mogą zrozumieć, że ja w ten sposób nie obrażam ludzkiej matki! Dlatego tak bardzo nas to obraża, skoro macierzyństwo zwierząt jest takie piękne?

Bardzo ostrożnie trzeba też mówić o sprawach, które mają związek z pewnymi religijnymi tradycjami. Otrzymałyśmy na przykład pełne oburzenia listy, gdy powiedzieliśmy, że węże nie interesują się jabłkami.

— Za ogrodzeniem zoo zaczyna się inny świat, którym rządzi specjalne prawo — mówią państwo Gucwińscy. — Myśmy byli jedyną instytucją we Wrocławiu czynną bez dnia przerwy po ogłoszeniu stanu wojennego. Bez względu na okoliczności zwierzęta stawiają przed nami codziennie określone obowiązki.

— Teraz jest godzina 15, kończymy pracę urzędową. Za chwilę wezmę wiadro, gumowe buty i pójdę obsługiwać zwierzęta, które są pod moją opieką — mówi pan Antoni. — Żona zrobi to samo.

— Te zajęcia to dla mnie prawdziwy luksus po pracy administracyjnej — dodaje pani Hanna. — Mogę wtedy sprzątnąć klatki, dać zwierzętom jeść, mieć z nimi kontakt. A pracy jest bardzo dużo. Mam kilka chorych gołębi, które same nie jedzą, powierzono mi je i muszę je ratować. Mam liczne pupugi do nakarmienia, widziałam pani także mojego szympansa, z którym także i pobawić się trzeba, mam ukochanego szczura, którego dał mi młody człowiek, kiedy go wezwano do wojska i rodzice powiedzieli, że szczura nie będą hodować. Są udomowione fretki, kruk, który podsłuchuje jak mąż był przeziębiony i teraz kaszle tak samo. W naszym domu jest ponad pięćdziesiąt zwierzątek.

Życie jak w biblijnym raju? Niezupełnie. — Czasami zdarzały się ostre nagonki na nas, raz przeżyliśmy taką ze strony pani ko-

legów dziennikarzy. Odważyliśmy się wytoczyć proces jednemu z nich i to rozpętało prawdziwą kampanię przeciw nam. Pisano, że podjadamy żywność zwierzętom, że ja im upijam mleko!

Na szczęście ani na chwilę nie pozbawiło to państwa Gucwińskich powszechnej sympatii, jaką od lat się cieszą. Zresztą sympatii czasami kłopotliwej. Bywa, że niektóre otrzymywane przez nich listy, stawiają ich w niezręcznej sytuacji.

— Ludzie wiedzą, że skoro kochamy zwierzęta — mówi pani Hanna — musimy mieć wrażliwe serca. Jest więc dużo listów z prośbą o finansowe wsparcie. Niedawno nawet ktoś napisał, żeby mu przysłać tysiąc dolarów, bo dla mnie to nie będzie uszczerbek. Napisała ostatnio kobieta, która jest chora i ma dwoje chorych dzieci z prośbą, żebyśmy zostali sponsorami jej rodziny. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że ja mam urzędniczą pensję, a telewizja za popularnonaukowy program nie płaci znow tak wiele. Nie mam większych możliwości finansowych niż inni i nie mogę sobie pozwolić na rozdawanie pieniędzy. Jesteśmy z mężem sami i także powinniśmy mieć jakieś zabezpieczenie na przykład na wypadek choroby.

Są też i inne, mało sympatyczne strony popularności państwa Gucwińskich i wrocławskiego zoo.

— Sporo szkód przynoszą kradzieże. Czasami są one dla nas szczególnie bolesne. Jeżeli wychowałam w domu i oswoiłam fretki, wykarmiłam je pipetką, a ktoś mi je kradnie na futro — no to można zwariować! Ostatnio takie fretki mi ukradziono i musieli w tym brać udział pracownicy zoo, bo kiedy stało się to jednego dnia, zabrałam pozostałe i przeniosłam gdzieś indziej, a złodziej następnego dnia wiedział gdzie one są i resztę także zabrał.

— Człowiek jest w swojej psychice istotą bardzo drapieżną — mówi pani Hanna. — Wciąż chcemy zagarniać więcej niż nam potrzeba. Ze strachu, na zapas, na wszelki wypadek. Są ludzie, którzy boją się, że nas zwierzęta... objadają. Jeżeli mamy chorą małpkę i musimy mieć dla niej banana, to spotykamy się z charakterystyczną reakcją: to pani musi mieć dla małpy banany, a moje dziecko ich nie ma! A przecież ten banan już dawno powinien przestać być u nas luksusem. W naszym ogrodzie zoologicznym pokazałyśmy za szybą kuchnię zwierzęcą — co małpy mają przygotowywane na śniadanie, na obiad. Były głosy oburzenia, groźby, że szyby zostaną powybijane, gdyż ludzie uznali, że małpy mają za dobre jedzenie. Mimo że jest tam gros owoców, które rosną u nas w Polsce. Przecież mamy się czym podzielić ze zwierzętami, tyle jedzenia bezmyślnie wyrzuca się do kubiów...

Na pytanie jak ogród zoologiczny radzi sobie pod względem finansowym państwo Gucwińscy odpowiadają, że — na szczęście — nie najgorzej.

— Jesteśmy miejską instytucją — wyjaśnia pan Antoni — mamy dotacje, które sięgają 85 procent kosztów utrzymania. Ale w tych kosztach są na przykład takie dziwne pozycje jak podatek dochodowy. Płacimy podatek dochodowy od dotacji!

Kiedy mówi się o ogrodach zoologicznych i kosztach ich utrzymania, a wiadomo, że na całym świecie kosztują, nie są samowystarczalne, trzeba brać pod uwagę, że w końcu jest to miejsce dla ludzi, a nie dla zwierząt. Do nas przychodzi około miliona osób rocznie. Mają tu kawał prawdziwej przyrody, psychicznego azylu — w każdej chwili, za grosze, bez zamawiania miejsca. Jest to luksus, który trzeba umieć docenić. ■

Sprawdzian dla Europejczyków

TOMASZ RADZYŃKIEWICZ

Paweł, Andrzej, Monika i Teresa spędzili urlop na Wyspach Brytyjskich pracując w gospodarstwie rolnym niedaleko miasta York, a potem w restauracji w Londynie. Znają się już bardzo długo (ponad 10 lat) i ten wypad „na saksy” nie był pierwszym w ich życiu. Posiadając zarobione pieniądze i trochę własnych oszczędności postanowili kupić jakiś używany samochód. Wracając przez tereny Belgii i Niemiec do Polski rozmawiali z ludnością wymienionych krajów używając także języka angielskiego. Po rozmowach tych doszli do wniosku, że ludzie z Europy Zachodniej władają dość biegle jednym lub kilkoma językami obcymi. U niektórych mieszkańców Belgii czy Niemiec stwierdzili znajomość tak zwanego English-Kunta Kinte, to znaczy używanie wyrazów w stylu: ja powiedziałem, ja zrobiłem, ja pokazałem itd, itp.

Zainspirowani tak, jak to sami określili, specyficznym operowaniem językiem angielskim postanowili po powrocie do rodzinnego miasta sprawdzić jak łodzianie znają języki obce, a w tym język angielski. W sobotni rano wybrali się samochodem z rejestracją angielską do centrum Łodzi. Pierwszy „przystanek” urządzili sobie blisko skrzyżowania ulic Zachodniej i Dębnowskiej. Paweł widząc idącego mężczyznę wyszedł z samochodu, podszedł do niego i zapytał płynną angielszczyzną jak dojechać do Muzeum Sztuki. Mężczyzna wzruszył tylko ramionami i powiedział, że nie rozumie. Pojechali na aleję Kościuszki. To samo pytanie zadawała grupie przechodniów Teresa. Tym razem było różnie. Jedni tłumaczyli po polsku rysując drogę na kartce papieru, inni operowali łamaną angielszczyzną. Dochodziła godzina dziesiąta. Robiący test zmienili miejsce postoju. Pojechali na aleję Mickiewicza blisko domu towarowego „Central”. Kilku zapytanych przez Andrzeja ludzi próbowało tłumaczyć po polsku jak dojechać do Muzeum Sztuki. Rozmowa zgromadziła kilkunastu ciekawych. I w tym momencie zjawili się jakiś starszy mężczyzna zapytując po angielsku o co chodzi. Znając treść pytania wyjaśnił w ciągu minut jak dojechać do wskazanego miejsca. Podziękowali i pojechali, ale odjechali niezbyt daleko. Zatrzymali się na ul. Łąkowej i Monika pytała jak dojechać do dworca kolejowego. Kilkunastoletni chłopak z plecakiem oznajmił, że nie zna angielskiego, ale może z nimi porozmawiać po hiszpańsku lub po francusku. Wtedy z samochodu wyszedł Andrzej i zaczął z nim rozmawiać w języku francuskim zabarwiając go specyficznym akcentem angielskim.

— O który dworzec wam chodzi? — zapytał chłopak.

Andrzej poszperał chwilę w kieszeni, wyciągnął kartkę, popatrzył na nią i odpowiedział, że o Dworzec Fabryczny.

I tu rozpoczęło się długie tłumaczenie. Chłopak operował poprawną francuszczyzną rysując równocześnie drogę na kartce, którą otrzymał od Andrzeja. Podziękowali i odjechali. Ulicą Narutowicza dotarli do ulicy Kopcińskiego i tu zapytali o najbliższą stację benzynową. Mężczyzna, który z nimi rozmawiał wskazał ręką na wprost i rzekł po angielsku:

— A pompa, gazolina rozumiem. Prosto.

I poszedł przed siebie.

Około godziny jedenastej piętnaście Monika zapytała grupę młodzieży jak można by dojechać do najbliższej czynnej poczty. Odpowiedzieli, że nie rozumieją o co chodzi. Napotkany kilkadziesiąt metrów dalej mężczyzna lat około trzydziestu odparł, że nie zna angielskiego, ale może z nimi rozmawiać po niemiecku. Oni rzucili między sobą kilka słów po angielsku i z pytaniem zaczęła rozmawiać Teresa. Mężczyzna mówił dość dobrze po niemiecku. Zainteresowana Teresa zapytała go skąd zna tak dobrze język niemiecki.

— Pracowałem dwa lata w zakładach Opla. Jestem mechanikiem.

Potem było jeszcze wiele pytań stawianych w językach angielskim, niemieckim i francuskim. Większość osób próbowała coś powiedzieć i tłumaczyć. Byli i tacy, którzy używali mieszanki kilku języków. Duże zaskoczenie wywołała płynna znajomość języka anglo-amerykańskiego u młodej dziewczyny lat około dwudziestu.

— Jak pani to robi, że pani tak świetnie zna mowę amerykańską? — zapytał z figlarnym uśmiechem na twarzy Andrzej.

— Po prostu uczę się języka w studium w Warszawie.

Była godzina dwunasta, gdy Paweł, Andrzej, Monika i Teresa postanowili zakończyć swój test. Mieli dużo radości, ale także wiele do prze-myślenia. ■

Jedno danie Anny-Marii

Przepis na sylwester milionerów

Już drugiego z kolei sylwestra spędzam tylko z synem w domu. I z pobłażliwą wyrozumiałością obserwuję siebie samą myśląc: jaka ja byłam głupia, że chciało mi się kiedyś tyle wysiłków, trudów, zabiegów, wyrzeczeń, nerwów, zdrowia wręcz wkładać w przygotowania do tej nocy, zwanej sylwestrową. Nocy, ani o minutę przecież, nawet o jedną sekundę nie dłuższej od wszystkich pozostałych nocy z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni starożytności, przemijającego roku.

Żeby pójść na sylwestra – należało, poza kupieniem wieczorowej kiecki, takichż pantofli, rękawiczek, torebki; poza ustrojeniem głowy w awanturę fryzurę i wycięciem skórek przy paznokciach dolnych i górnych – rozstrzygnąć uprzednio zawily problem: dokąd pójść?

A ongiś, w tamtych mrocznych czasach, w których dosłownie wszystko, łącznie z duchem, duszą, jestestwem, świadomością i podświadomością było zniewolone – wybór miejsc był ograniczony. Prywatne biura podróży nie istniały, co najwyżej można było z „Orbisem” się udać na sylwestra do równie zniewolonego Demolodu.

Teraz każdy ma szansę pojechać choćby na Wyspy Kanaryjskie czy na Seszele, aby tam, w cieniu palm i bananowców obalać sylwestrowego szampana. Teraz już na szczęście nie ma robotników

ani rolników, ani jakiegokolwiek tam inteligencji pracującej. Teraz są sami milionerzy. A jeżeli gdzieś pokutują żałosne wyjątki niemilionerskie, to wyłącznie w celu potwierdzenia obowiązującej reguły. O milionerach, oczywiście.

Jakaż to olbrzymia, napędzająca siła, jakaż satysfakcjonująca człowieka świadomość: jestem milionerką – powtarzam niczym pacierz codziennie wieczorem obliczając kolejne wydatki na kolejny dzień do przeżycia. Jestem milionerką, zachwycam się odbierając pensję, którą natychmiast po powrocie do domu rozkładam na „kupki”. Pierwsza „kupka” na świadczenia. Druga – na „życie”. Trzecia... hm, na tę trzecią nie ma. Zupełnie jak w tym surrealistycznym dowcipie o okrętach. „Stały w porcie trzy okręty. Jeden cały, drugiego pół, a trzeciego wcale nie było”. Nie wiem, czy trzecia „kupka”: na kino, książkę, żelówkę i tepe, kiedykolwiek zmateriałizuje mi się, bo jeśli o okręty chodzi, żywie przekonanie, że po prywatyzacji Stoczni Gdańskiej zbudujemy i ten trzeci.

Zresztą, co tam jakaś „kupka”, której wcale nie ma; liczy się fakt, że jestem milionerką. A jak bardzo nią jestem, przekonałam się kilka dni przed zakończeniem starego roku 90’ dzięki swojej palce.

Bo tak: szesnaście lat temu za równowartość dwóch moich pensji wypłacanych w nic niewartych wówczas złotychkach,

nabyłam w monopolistycznym sklepie automat firmy Candy. Candy mi prała bezawaryjnie lat szesnaście, ale że nic nie jest wieczne, więc i ją w końcu szlag trafił. Przyszedł pan naprawiacz. Opukał, oślukał, powiedział: Pani! półtorej bańki na stół, i pralka po reperacji jak nowa.

Panie! Coś pan! Za półtorej bańki to ja sobie nową kupię, a z tą na złom!

Przyjrzał mi się ze współczuciem: pani to całkiem jakby niedzisiejsza. Półtorej bańki za „Polara” brali w zeszłym roku, a w tym biorą cztery. Ale skoro na złom, to ja ten złom mogę kupić. Dam bańkę. I jeszcze własny transport dorzucę.

Do transakcji nie doszło. Do naprawy też nie. Akurat brakuje mi i tych czterech bańek na nową, i tej półtorej bańki na naprawę starej. Co jednak nie zmienia faktu, że nie przestaję być milionerką. Pierwszy milion już mam: w palce chociażby.

A niedługo kupię sobie mercedesa.

I nie tylko ja. Każdy sobie kupi.

Bo ksiądz Jankowski w wywiadzie dla Auto Sukcesu powiedział, że mercedesa „nie należy utożsamiać z bogactwem, bo to nieprawda. To jest wóz dla każdego człowieka”.

„Każdy człowiek” to też i ja. I ty też możesz zostać „każdym człowiekiem”. I on. I ono. I my. I wy. I oni.

Zaraz, zaraz, chyba się rozpedziłam: oni to już nie mogą. Bo skoro „oni”, to znaczy, że nie nasi. Ale tak, poza nimi, którzy są oni, reszta odmiany zaimków osobowych w naszej skomplikowanej gramatyce jest wyjątkowo prosta i poza wszelkimi podejrzeniami o związki z nomenklaturą.

Moja matka, polonistka, uczyła kiedyś w Studium dla Obcokrajowców. Stamtąd przyniosła pewną anegdotę. Egzotyczny student z dalekiego, egzotycznego kraju miał odmienić przez zaimki zdanie: Ja noszę kalosze. I odmienił je tak:

„Ja nosię kalosię
Ty nosiś kalosiś
On nosi kalosi
My nosimy kalosimy
Wy nosicie kalosicie
Oni nosią kalosią”

Gdyby tak teraz zlecić egzotycznemu studentowi odmianę rzeczownika „mercedes” z czasownikiem „jeździć” przez zaimki osobowe? Myślę, że taka odmiana przerosłaby jego możliwości z powodu zbyt dużej ilości chrzęszczących dźwięków: „dz”, „dż”, „ż”. Więc to będzie jednak wyłącznie nasza polska odmiana. Realistycznego widzenia rzeczywistości. W której mercedes jest wozem dla każdego człowieka.

To ino patrzeć, jak z szos naszych, ulic naszych, miast naszych, wsi naszych znikają zające maluchy, i wszędzie, jak Polska długa i szeroka, od Kar-

pat po Bałtyk jeżdżą sobie, jeżdżą milionerzy w mercedesach. A co tam! Są milionerami, czy nie są? Stać ich na te drobne kilkanaście tysięcy dolarów, zaoszczędzą je ze swoich pensji. I świat jest piękny, życie wspaniałe.

Co ma wspólnego polski milioner w mercedesie z sylwestrową nocką?

A ma! Bo podjeżdża mercedesem pod biuro podróży i wykupuje pobyt na Seszelach, żeby tam, bez kompleksów, właściwych obywatelowi z tak zwanego Trzeciego Świata, jako równy innym milionerom, z nimi się trącać i żyć do siego roku.

Lub mercem wprost pod Marriott i od razu wali na salę balową.

Bo być polskim milionerem, to jest to! Poznaj wreszcie siłę swego pieniądza, kup merca, nie zwlekaj!

To dlaczego ja ani na Seszelach, ani nie w Marriottcie?

W sylwestrowy wieczór uste-pującego roku 89 nie znalazł jeszcze dokładnie swoich perspektyw. Został za mną rok, w którym podwyżka cen wyraziła się dwunastokrotnym mnożnikiem. Nie starczyło nawet na szampana, nie tylko na Seszele. O północy trąciliśmy się z synem pepsi i poszliśmy spać. Pierwszy dzień nowego roku 1990 był rozkoszny: człowiek bez kacy, i nogi nie obolały, i wyspany.

A w tym?

Cóż, miliony milionami, lecz styczeń ma aż trzydzieści jeden dni. No i od pierwszego podróże elektryczność, gaz, benzyna i reszta. Jeszcze też pralkę muszę naprawić. To kupiłam pepsi. Z kartofli, jakie mi zostały od obiadu, zrobiłam sałatkę. Pepsi szczyptało w język prawie jak szampan, sałatka była pyszna, popiliśmy sobie z synem, pojeździliśmy, pożyczaliśmy do siego! a następnie, my, polscy milionerzy, udaliśmy się do łóżek.

Zawsze przecież można powiedzieć, że de gustibus non est disputandum, prawda?

Obyczaje

W czasach rozpasanego Peerelu spod znaku Edwarda Gierka, powiadało się, że szampan to taki trunek, który klasa robotnicza pije ustami swoich przedstawicieli.

Ostatnio, podczas publicznego picia szampana, doszło nas tryumfalne zawołanie z Gdańska: „Zdrowie wasze, w gardła nasze”.

Widomy to znak odchodzenia od ezopowego języka minionej epoki.

„Najtrudniej o przyjaźń wśród tych, którzy ubiegają się o zaszczyty w służbie państwa. Gdzie bowiem znajdziesz takiego, który godność przyjaciela przyniesie ponad swoją?”. Te słowa Marcusa Tulliusa Cicero wypowiedziane niemal dwadzieścia jeden wieków temu nabrały nowego blasku w kontekście niedawnej kampanii prezydenckiej. Czy prezydent Wałęsa pozyskiwało, co poprzy przewodniczący związku „Solidarność”?

Stawi się czy stchórzy? Stan Ty-miński, człowiek z Kanady czyli znikąd, w terminie zgłosił się do prokuratury, która zmieniła mu kwalifikację czynu i uznała, że pomówienie Tadeusza Mazowieckiego o zdradę ma charakter przestępstwa prywatno-skarbowego. Aż dziw, że nikt nie oskarżył Tyminskiego o wystawienie czeków bez pokrycia, nawet jeśli były to tylko czek wyborcze.

Aktor Jerzy Matulowski, oceniając dla „Polityki” dokonania rodzi-mej telewizji stwierdził: „Zdecydowanie nie podoba mi się dominacja polityki kosztem kultury w TV. W programie „Wydarzenia tygodnia” polega to na tym, że występują gołębie, jastrzębie i red. Orzeł, a przydałby się ktoś dobrze poinformowany”.

A czy to ładnie wytykać po imieniu braki komuś, kto nawet nie będzie się umiał obronić?

Z coraz większym zakłopotaniem poznajemy siłę swoich pieniędzy. Zdrożała benzyna, gaz, energia elektryczna, mleko i sery, mięsa praktycznie nie ma, bo chłopi chcą wymusić kolejną podwyżkę cen, produkty rodzimego przemysłu motoryzacyjnego odjeżdżają w siną dal przed ludźmi, którzy na nie oszczędzali. W temacie ceny niewątpliwie efekt przyspieszenia.

Dlaczego wciąż słyszymy o strajkach maszynistów kolejowych, nigdy zaś konduktorów? PKP od dawna jest najbardziej sprywatyzowanym przedsiębiorstwem w Polsce. Rewizorzy i kontrolerzy, jak przystało na rzutkich ludzi interesu, biorą za przejazd od pasażerów nie zwracając sobie głowy wystawianiem biletów. Biorą oczywiście nieco taniej, aby i zawodowym gapowiczom się to opłacało. Im wyższa taryfa, tym więcej chętnych.

Ogłoszenie „Biura Towarzystwskiego” z Olsztyna pomieszczono w „Expressie Wieczornym”: „OKAZAJ! Chcesz zawrzeć znajomość z paniami. Wysyłamy unikalne Fotosekskatalogi sex pań wraz z ich adresami z całej Polski”.

Praca w takim biurze i w takim towarzystwie to czysta przyjemność.

Najnowsze wydanie rosyjskie „Manifestu Komunistycznego” powinno zaczynać się od słów: „Widmo krąży po stronie komunizmu – widmo głodu”. Zdanie końcowe tej edycji powinno brzmieć: „Obywatele Związku Radzieckiego nie mają nic do stracenia, nawet złudzeń. Do zdobycia mają świat cały”.

Czy Polska stanie się krajem tranzytowym dla uciekinierów z Bugu?

Czarny humor rodem z Moskwy: – Mamusi – pyta mały robaczek – gdzie jest tatuś?

– Lepiej byś milczał. Ten drań wybrał się z nieznajomymi facetami na ryby.

Lud łaknie igrzysk. Łódzki Ośrodek Telewizyjny i „Gazeta Łódzka” prowadzili gwoździ rozrywki przez cały rok zimną wojnę. Ostatnio rozszły się niepokojące pogłoski, że dyrektor LOT i naczelna „GŁ” doszli do porozumienia. Spieszymy uspokoić żadną rozrywką publiczność. Cała prawda zawarta jest w znanej myśli Stanisława Jerzego Leca: „Nareszcie się porozumieli. Doszli do zgodnego wniosku, że są wrogami”.

Jeden ze sposobów gry w ruletkę polega, jak wiadomo, na obstawianiu żetonami pól czerwonych lub czarnych. Zawodowi hazardziści twierdzą, że czerwone ostatnio nieustannie przegrywa.

Wtajemniczeni twierdzą, że w najbliższym sezonie muszki całkowicie zostaną wyparte z męskiej mody. Mają być zastąpione koloratkami. Przynajmniej w Polsce.

Słuchajmy i zważmy u siebie

Byłoby dobrze być dopiero w zamiarach rodziców. Dobrze byłoby też, ażeby oni byli młodzi, piękni, przedsiębiorczy, z niewielkim choćby kapitałem wyjściowym i własnym mieszkaniem.

Byłoby też dobrze, ażeby ich temperament lokował się poniżej średniej krajowej, gdyż po ustawie antyaborcyjnej przyjdzie zapewne zakaz używania wszelkich środków antykoncepcyjnych i wówczas może nas być jedenaścioro, w jednym pokoju.

Dobrze, żeby moi rodzice dopasowali się pod każdym względem i żyli zgodnie, gdyż wkrótce rozwodów już nie będzie. Żeby kochali się przez całe życie i zmarli jednocześnie, gdy ja będę już dorosły.

Dobrze, żeby on był jej pierwszym chłopcem, a ona jego pierwszą dziewczyną – wówczas nie będę chory na AIDS.

Dobrze, żeby mieli właściwe pochodzenie – może nie aż do XV wieku wstecz – lecz jednak. Dobrze, żeby Bóg dał im łaskę wiary katolickiej, a jeszcze lepiej, łaskę bezkrytycznej wiary w Hierarchię i Kościół parafialny (ksiądz pro-

boszcza i jego współpracowników). Dobrze, żeby popierali każdą wielkość (w tym parlamentarną), albowiem idą ciężkie czasy – dla każdej mniejszości.

Dobrze, żeby znali języki obce, a przynajmniej mnie nie zapomnieli ich nauczyć. Dobrze, żebym urodził się chłopcem, gdyż mężczyźni żyją się łatwiej i więcej mu wolno. Dobrze, żeby bili, gdy będę muzykował, pisał wiersze, rysował lub czytał książki humanistyczne.

Niechaj zaprenumerują mi raczej „Małego biznesmena”, kupią komputer, klocki Lego i trochę akcji dobrze prosperującego przedsiębiorstwa.

Niechaj też starannie dobierają mi przyjaciół, o zbliżonych zainteresowaniach i aspiracjach, gdyż życie jest życiem, pomimo pluralizmu – a jabłko niedaleko pada od jabłoni.

W pewnym wieku i raczej nieoficjalnie, lecz na tzw. wszelki przypadek niechaj nauczą mnie picia alkoholu (strzeżonego Pan Bóg strzeże), gdyż bez tej umiejętności w Polsce nikt daleko nie zajędzie.

I niechaj ojciec (przynale-

żność partyjna ZChN), też nieoficjalnie, i nie bez odrazy wprowadzi mnie w tajniki erotyzmu i narządów kobiecych – książkę i ilustracji w tym temacie przecież nie będzie. I niechaj sens tej swoistej lekcji brzmi: Nie miłość, lecz obowiązek i prokreacja, przy zgaszonym świetle. A żona twoja jest przede wszystkim matką twoich dzieci, kucharką, sprzątaczką, praczką. Bądź dobry – pomóż jej! (tu protest Korwina-Mikke, dalej w musce. Powód estetyczny). Więc dobrze.

Dobrze, ażeby już w kołysce śpiewano ci, „Jesteś Polakiem małym, będziesz średnim i Polakiem dużym”, a nie kosmopolitą, czyli obywatelem świata. Jeśli już wyjedziesz – pamiętaj! Przywieź więcej niż wywieź – na pożytek twój i całej społeczności.

I żebyś nosił głowę nie za wysoko – mogą uciąć. I nie za nisko, gdyż znajdziesz się na tym leż padole. Sprawiasz przykrość rodzicom, a ucieszysz sąsiadów. A przecież bliższa ciętu koszula.

Dobrze, ażeby przed ostatecznym wyborem drogi życiowej rodzice pokazali ci obrazki z życia różnych sfer i profesji. Oto

dzielnica bezdomnych i żebraków, po której należy poruszać się choćby małym fiatem i tylko w stanach wyższej konieczności. Nieprzytomne oczy, wątłe ciała, połatane spodnie, brzydkie kobiety i sporty z czystą. To profesorowie nauk humanistycznych, poeci, nauczyciele języka polskiego (coś z tym trzeba zrobić), niektórzy plastycy, filmowcy, dziennikarze.

Dobrze żebyś wówczas powiedział – moja noga więcej tu nie postanie. I dobrze, żebyś to powiedział z dostateczną determinacją. Jeśli byłeś za, a nawet przeciw, potrzebny jest spacer dzielnicy willową. Ach!

businessmeni, drogie kobiety (umiejscowione dyskretnie), liderzy słusznych partii politycznych, maklerzy giełdowi, wzięci adwokaci, senatorowie i ich biura, strzeliste świątynie i białe mercedesy, dywany zielone, gwiazdy kultury masowej. W nozdrzach wieje Europa.

Dobrze, żebyś powiedział, nie wiedząc za kim – „Trwaj chwilo, chwilo jesteś piękna”. I byłoby dobrze, ażebyś zamówił mszę dziękczynną za mądrych rodziców, staranne wychowanie, za demokrację i przyszłość: twoją i całej wspólnoty.

Byłoby dobrze, abyś jako szanowany obywatel, syn szanowanych rodziców, spotkał szanowaną obywatelkę i żebyś ty był jej pierwszym, a ona twoją jedyną. Żebyście mieli dom, butik i trochę więcej akcji w dobrze prosperującym przedsiębiorstwie.

Dobrze, żebyście się dopasowali pod każdym względem – separacji też nie będzie.

I dobrze, żebyście zmarli razem, a pamięć o was trwała w waszych dzieciach, dobrze wychowanych. I dobrze, ażebyś nigdy wcześniej nie przeczytał wyrotowej strofy polsko-litewskiego wieszcza:

„Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego rozkazu.
Kto nie doznał gorczy ni razu
Ten nie dozna słodyczy w niebie”.

ANDRZEJ
BABARYKO